

Wspomnienie sprzed 35 lat: Taizé - Sobór Młodych

Na podstawie notatek i skrótych bazgrołów z 1973 roku,
odcyfrowywanych w 1995-1997,
rozszerzanych i uzupełnianych z zawodnej pamięci w 2008.

Przeglądając swoje zapiski widzę, że notowałem skróto, niejednoznacznie, nieraz notowałem to, co bałem się, że zapomnę, nie notowałem zaś tego, co wydawało mi się, że nie sposób zapomnieć. A jednak, już po 15 latach, gdy porządkowałem swoje zapiski i przenosiłem je do komputera nie byłem w stanie przypomnieć sobie nie zapisanych faktów, imion, wydarzeń, wypowiedzi, okoliczności. Moja niniejsza relacja zawiera w dużej mierze szczegóły przypadkowe. Tu i tam cytuję czyjeś wypowiedzi. Nie są jednak to dosłowne wypowiedzi danych osób (nie wspominając o braku autoryzacji). Nie nagrywałem przecież na magnetofon ani nie stenografowałem. Zapisywałem sobie, to co z czyjejs wypowiedzi mi w pamięci utkwilo, i to własnymi słowami. Mogę mieć nadzieję, że nie wypaczyłem sensu, a jeśli – to przepraszam, nie zamierzałem.

1. Początki

O Taizé usłyszałem gdzieś z początkiem lat 60-tych. Usłyszałem, że niektórzy protestanci zaczęli zastanawiać się, czy poprzez likwidację klasztorów w ramach reformacji, nie utracili jednak czegoś istotnego i wartościowego z chrześcijaństwa. W efekcie kilku protestantów różnych wyznań zaczęło eksperymentować z życiem monastycznym i osiedli w Taizé, gdzie powstał jedyny zapewne w świecie klasztor interprotestancki. Słowa ekumenizm używano wtedy jeszcze rzadko, dopiero zaczynał się II Sobór Watykański.

W marcu 68, akurat podczas studenckich protestów, wysłano mnie do Warszawy na seminarium z filozofii przyrody. Zaszedłem przy okazji do duszpasterstwa akademickiego św. Anny i akurat trafiłem na odczyt o ekumenicznej wspólnotcie w Taizé. Dowiedziałem się wtedy trochę więcej. Otóż bracia z Taizé doświadczywszy wartości życia monastycznego utwierdzili się w opinii, że utrata jedności podczas reformacji przyniosła jako skutek utratę istotnych wartości przez podzielone Kościoły. Ich zdaniem potrzeba powrócić do dawnej jedności, aby Kościół odzyskał to, co utracił. Każde z wyznań ma tu do wniesienia swoją wartość, która u nich się przechowała, ale prócz tego musi mieć świadomość, że pewne wartości także oni sami utracili, do odzyskania których potrzebne im są pozostałe Kościoły. Na tym polegać miał ekumenizm w wersji Taizé, aby uświadomić sobie co mamy, co utraciliśmy, czego nam brakuje i czego potrzeba. Wtedy po odzyskaniu wspólnoty wartości, będzie możliwy powrót do dawnej jedności.

Nie jestem teraz pewien, czy tu trochę nie płaczę i czy nie łączę razem rzeczy zasłyszanych w Warszawskiej św. Annie i gdzie indziej, ale w sumie mało to istotne. Przyznam się, że wtedy nie wywarło to na mnie większego wrażenia, pomyślałem: no cóż, jeśli protestanci poszukują tego, co utracili, to szczęście im Panie Boże. Ale czymże jest jedno Taizé. Czy warto się tym podniecać?

W tymże 1968 PAX wydal przekład Jean-Marie Pauperta "*Taizé i Kościół jutra*" - książka szeroko omawiająca wrażenia autora z Taizé, historie powstania wspólnoty, jej działania, kontakty z katolikami, poczynając od Piusa XII, o pobycie braci z Taizé na Soborze w roli obserwatorów, o problemach teologicznych związanych z ekumenizmem. Przyznam się, że i to nie poruszyło mnie - ot, jeszcze jedna ciekawostka.

Aż przyszedł rok 1971. Moja siostra, na jakimś spotkaniu w Erfurcie poznała kogoś, kto był w Taizé i pełna entuzjazmu, zaraziła nim i mnie. Przyniosła ulotki oraz parę numerów "Lettre de Taizé"

Taizé to już nie tylko grupka protestantów zapoznających się z życiem monastycznym. To również międzynarodowe spotkania młodzieży, dzielącej się własnym przeżywaniem swej wiary, swego chrześcijaństwa. Taizé zaczęło przyciągać młodych, podobnie jak podkrakowski Tyniec przyciągnął mnie i moich kolegów. Zaczęli młodzi przyjeżdżać na rekolekcje, czy poszukując skupienia, miejsca modlitwy. Bracia z Taizé zainicjowali

dyskusje pomiędzy nimi, pomiędzy tymi, co tak samo przyjechali. Podsuwają im tematy do dyskusji. W kolejnych latach było:

1966 - szukamy dróg pojednania między chrześcijanami

1967 - nasze życie

1968 - wiara

1969 - nadzieja i wyzwania.

Właśnie dyskusje owego roku doprowadziły w podsumowaniu do odpowiedzi na pytanie:

Co jest źródłem nadziei w naszym życiu?

Jest nim ZMARTWYCHWSTANIE CHRYSYUSA.

Może się to komuś wydać banalne, ale ważne jest, że tę odpowiedź znaleźli sami młodzi, niezaangażowani w Kościół, religijnie niedokształceni, a niektórzy wręcz indyferentni. Młodzi wielu wyznań z wielu krajów, poniekąd samodzielnie w toku dyskusji doszli do takiej konkluzji. Powstał pomysł, by tę konkluzję rozwinąć szerzej, do paru zdań, zredagować i ogłosić jako radosną nowinę, jako wyzwanie nadziei wobec sytuacji w świecie, w którym jedni cierpią ucisk, inni mają wyolbrzymione przywileje, a jeszcze inni tracą świadomość własnego człowieczeństwa.

Warto dodać, że z każdym rokiem coraz więcej młodzieży pojawiało się w Taizé. Najwięcej na Wielkanoc, ale i dużo podczas letnich wakacji.

Co stwierdzają, czego oczekują?

Odczuwają silną potrzebę Boga, połączoną z chęcią służenia człowiekowi. Pragną, by Kościół był siłą stwarzającą, by poświęcenie się Chrystusowi wyzwalało w ludziach energię stwarzającą, czyniącą świat nadającym się do życia w nim. Marzą, by Kościół stał się na nowo "paschalny", by rezygnując z posługiwania się aparatem władzy, składał wierne świadectwo Ewangelii, która człowieka czyni wolnym.

Na Wielkanoc 1970 dwudziestoosobowa grupa młodych ze wszystkich kontynentów zredagowała ostatecznie następujący tekst Radosnej Nowiny:

**Chrystus Zmartwychwstały przychodzi
ożywić święto w najgłębszym wnętrzu człowieka.**

Przygotowuje dla nas wiosnę Kościoła:

**- Kościół pozbawiony aparatu władzy,
gotowy zato do dzielenia się ze wszystkimi,
miejsce widzialnej komunii całej ludzkości.**

**Udzieli nam dosyć wyobraźni i odwagi,
by otworzyć przed nami drogę pojednania,
Przygotowuje nas od oddawania życia za to,**

**by żaden człowiek nie był już więcej
ofiara drugiego człowieka.**

Juz przedtem, ktoś patrząc na dyskusje młodzieży w Taizé powiedział: wyglądają oni, jak sobór młodych. To stwierdzenie rozeszło się i pomysł został podjęty. Odczytując na Wielkanoc 1970 tekst Radosnej Nowiny, brat Roger zapowiedział: „Aby tę Radosną Nowinę uczynić konkretnym przeżyciem, zwołamy Sobór Młodych”.

I tak lato 1970 było pierwszym rokiem przygotowań. Za temat przyjęto „**Święto, które Chrystus Zmartwychwstały przychodzi ożywić w najgłębszym wnętrzu człowieka.**”. Podczas spotkań i konfrontacji doświadczeń, okazało się, że wg mieszkańców krajów południowych, mieszkańcy północy utracili umiejętność przeżywania święta, a razem z tym umiejętność dzielenia się i świadomość wartości wspólnoty. Wiele z dyskusji owego roku opisał brat Roger w książeczce „*Niech twe święto trwa bez końca*”.

Z kolei na rok 1971 przyjęto jako temat: „**Chrystus Zmartwychwstały przychodzi przygotować nas do oddawania życia za to, by żaden człowiek nie był już więcej ofiarą drugiego człowieka.**”

Jak wspomniałem, moja siostra zaraziła mnie entuzjazmem. Zacząłem pospiesznie tłumaczyć na polski Listy z Taizé, postanowiliśmy stworzyć w Krakowie grupkę, która będzie

omawiać tematy poruszane w Taizé, która będzie, na ile to możliwe, włączać się do przygotowań Soboru Młodych.

Chodziliśmy od jednych bliskich do drugich, relacjonując, czytając, dyskutując...

Takie były moje początki na drodze do Taizé.

2. Bez logistyki, pierwsze spotkania

Uznałem za dobry omen, że Taizé wyniknęło akurat, gdy zacząłem się uczyć francuskiego. Żałowałem, że nie zrobiłem tego wcześniej, o ileż łatwiej było by mi tłumaczyć biuletyny z Taizé! Na szczęście część materiałów była po angielsku. Brak mi jednak było znajomości angielskiego słownictwa religijnego. Moja siostra z kolei знаła nienajgorzej niemiecki, więc na podstawie tego, co w niemieckojęzycznej informacji wyczytała – usiłowałem dopasować brakujące słowa angielskie, a dodatkowo na tej podstawie, wspomagając się słownikami, rozbieraliśmy teksty francuskie, najobszerniejsze. Sam nie wiem, skąd znajdowaliśmy na to wszystko czas i energię.

Zafascynowało nas, że Taizé obywatel się bez stałego grona organizatorów, że cała logistyka zarówno organizacji pobytu młodzieży w Taizé, jak i przygotowań do Soboru Młodych, prowadzona jest przez wolontariuszy, wolontariuszy przypadkowych, wymieniających się, improwizujących, a jednak idzie to omal bez zacięć! Oczywiście elementem stałym są bracia z Taizé, ale oni mają swoje życie zakonne i swoje sprawy. Osoby, które już parokrotnie były w Taizé, za kolejnym przyjazdem tworzą grono animatorów, albo ekipę przyjmującą. Pozostałe osoby tworzą grupy weekendowe, albo grupy tygodniowe. Taka grupa składa się bodaj z 7 osób, dobranych maksymalnie różnorodnie, w stylu Australijczyk, Brazylijka, Hindus, Niemka, Amerykanin, oczywiście różnych wyznań, gdyby się jeszcze trafił do tego jaki buddysta, albo muslim, to byłoby to. Taka grupka przez tydzień mieszka pod jednym namiotem, razem spożywa posiłki, razem przychodzi na nabożeństwa, razem spędza cały czas, przy okazji dyskutując i omawiając zadane im tematy. Pod wieczór wybrana osoba z grupy referuje wnioski z dyskusji dziennej animatorowi, animatorzy z kolei to zbierają, podsumowują i podają do ogólnej wiadomości podczas „ogłoszeń” po nabożeństwach. A z tego powstaje biuletyn kwartalny „List z Taizé”, wzbogacony o rozważania brata Rogera.

Bracia z Taizé trzy razy dziennie odprawiają oficjum, wzorowane na brewiarzu, ale z modlitwami zaczerpniętymi z różnych wyznań, od prawosławnych, od anglikanów... z psalmów odrzucili wszystkie fragmenty, w których pobrzmiwa nienawiść, głównie ze względu na ewentualnych uczestników nie obytych z religią ani psalmami, którzy mogliby te fragmenty opacznie rozumieć. Podobne kryteria stosowano przy doborze modlitw do oficjum. Oficjum poranne pełni też rolę liturgii słowa, po której bezpośrednio następuje liturgia eucharystyczna.

W pierwszych latach wspólnoty, bracia odprawiali oficjum w małym kościółku romańskim, stojącym we wiosce. Po pewnym czasie zbudowali własny kościół – Kościół Pojednania. Mimo, że jest on obszerny, okazało się, że nie jest w stanie pomieścić wszystkich zjeżdżających się do Taizé. W ostatnim roku bracia zdecydowali rozebrać frontową ścianę kościoła i dostawić do niego namiot cyrkowy, tak by wszyscy mogli się pomieścić i by nikt nie stał na zewnątrz.

27 października 1971 przyszła wiadomość: bracia z Taizé są w Krakowie, przyjechali na zaproszenie kard. Wojtyły z okazji tygodnia eklezjologicznego. Oczywiście nie można było przepuścić okazji, dostaliśmy się wraz z siostrą na spotkanie. Ale spotkało nas rozczarowanie. Odnieśliśmy wrażenie (bardzo możliwe zresztą że niesłusznie), jakby brat Clement i brat Francois-Xavier mówili w pustkę. Jakby „Radosna nowina” i pomysł Soboru młodych mało kogo z obecnych obchodził. Ale w pewnym momencie brat Clement powiedział, że zależy im w Taizé na zebraniu doświadczeń z wszystkich zakątków świata, że wśród przyjezdnych brak im przedstawicieli „demoluda”. Że gotowi są sfinansować przyjazd i pobyt niewielkiej grupy osób z Polski. Nagle wszyscy zaczęli okazywać wielkie zainteresowanie Soborem Młodych, każdy był gotów jechać do Francji i wciskał swoje dane

braciom. Trudno się tym gorszyć. Niełatwo było z PRL-u wyjechać na Zachód, a tu się trafia taka szansa.

Na drugie spotkanie z braćmi, następnego dnia, przygotowałem sobie całe wystąpienie. Trochę było to przetłumaczenie „na nasze” idei Soboru Młodych, na użytek nieorientowanych rodaków, trochę o naszych próbach podejmowanych w Krakowie. Już nie pamiętam, co ostatecznie z tego wygłosiłem. Pamiętam jedną z sal u Dominikanów i O.Karola Meissnera z Tyńca jako tłumacza.

Było jeszcze jedno spotkanie, już po tygodniu eklezjologicznym, 8 listopada.

Nie zrobiłem notatek z tych spotkań, a ponieważ były jeszcze dalsze w następnych latach, mogły mi się sprawy z różnych spotkań ponakładać. Mam wrażenie, że głównym tematem poruszonym był ekumenizm. Czy jest możliwy powrót do jedności w Kościele? Jeśli wierzymy, że jedność Kościoła jest zgodna z wolą Bożą, to musimy też wierzyć, że jest możliwy powrót do jedności. Ale co zrobić z różnicami dogmatycznymi? Kto, komu i dlaczego ma ustąpić wg nich? Otóż, powrót do jedności nie ma polegać na dyskusjach teologów i zawieraniu kompromisów dogmatycznych. Przede wszystkim zacznijmy traktować siebie nawzajem, jako braci. Módlmy się o jedność, starajmy się, by nasze Kościoły żyły Ewangelią a zostawmy resztę Duchowi Świętemu. To, co dla ludzi jest niemożliwe, możliwe jest dla Boga. Nie znaczy to, że należy odrzucić dialog teologiczny, trzeba się poznać i dobrze poznać poglądy innych, nieraz się okazuje, że różnice są wyolbrzymiane w zbiorowej świadomości, zaś faktycznie są mniejsze.

Problem interkomunii – jest ona u większości protestantów, ale katolickie rozumienie Eucharystii wyklucza ją. Jest to w istocie problem. W 1969 roku kardynał Marty zezwolił katolikom na wstępowanie do wspólnoty Taizé i obecnie bracia mają w swoim gronie katolików. Pod kościołem jest krypta katolicka. Po porannym oficjum katolicy schodzą do krypty na katolicką liturgię eucharystyczną, protestanci pozostają na górze. Ten podział, ten ból, jaki odczuwają w momencie, gdy się trzeba rozdzielić na Eucharystię, jeszcze bardziej uprzytamnia jakim nieszczęściem jest brak jedności i ożywia tęsknotę za nią. Modlimy się, aby ta sytuacja uległa zmianie.

3. Uwagi siostry,

Jak wspomniałem, to moja siostra, Hanka, zaraziła mnie ideą Soboru Młodych i Taizé. Chcąc więc rzetelnie opowiedzieć o początkach taizowskich, spytałem się jej, gdzie usłyszała o Taizé.

Wg niej było to troszkę inaczej, niż opisałem.

Jakoś wiosną 1971 poszła odebrać dla mamy jakieś druczki informacyjne dla III zakonu. Był tam tekst o nastoletnich narkomanach umierających z przedawkowania, bodaj w Kopenhadze. Była tym bardzo przejęta i akurat gdzieś w innym tekście przeczytała notkę o młodzieży masowo przyjeżdżającej do Taizé. I była to dla niej, jakby odpowiedź od Boga – oto remedium na tamto poprzednie. Postanowiła, że musi do Taizé pojechać i się z tym zapoznać na miejscu – i to dlatego zapisaliśmy się na naukę francuskiego.

Dodatkowo Hanka z racji znajomości niemieckiego służyła za tłumaczkę w duszpasterstwie i jakoś dzięki temu nawiązała kontakt z duszpasterstwem w Erfurcie (NRD). Latem 1971, korzystając z że komuna odkręciła śrubę i nie trzeba się było starać o wizę do NRD i Czechosłowacji, wprowadzono wielokrotne wkładki paszportowe do demoludów, wybrała się do Erfurtu. Okazało się, że zaproszono ją na dni, kiedy do Erfurtu przyjechało parę przedstawicielek młodzieży taizowskiej. Wtedy od nich dostała „kaju” – biały kamyk i one wzięły jej adres do wysyłki Listu z Taizé.

Jedna z tych dziewcząt później przyjechała razem z braćmi z Taizé do Krakowa i zanim było spotkanie z braćmi u Dominikanów, spotkaliśmy się prywatnym mieszkaniu jednej z zainteresowanych osób.

Tak więc wygląda, że nasze zainteresowanie Soborem Młodych było jednak reakcją na inicjatywy podejmowane stamtąd.

4. Owe lata

Jak opisać owe lata? Owe lata mojej drugiej młodości, którą dostałem, jakby w rekompensatę za nieudane dzieciństwo? Miałem lat 27, czułem się, jakbym znów miał lat 18. Pracowałem, zarabiałem, jak na PRL całkiem dobrze, robiłem studia podyplomowe, niebawem miałem zacząć geologię stosowaną dla pracujących. Nie było mnie stać na własne mieszkanie, ani na samochód, lecz poza tym wszystko było dostępne, całe życie zdawało się przede mną stać otworem

W tych 71-73 wydarzyły się też rzeczy ważne duchowo. Latem 1971 poznałem O. Jana Andrzeja Kłoczowskiego i niebawem znalazłem się w grupie absolwentów dominikańskiej Beczki spotykającej się prywatnie pod jego prowadzeniem. W marcu 1972 trafiam do urszulańskiej grupy biblijnej M. Imeldy Adamskiej. A i dawną grupę po św. Annie, spotykającą się w Tyńcu z O. Augustynem Jankowskim spotkała nowa przygoda. Jesienią 1982 nie mógł nas Tyniec przyjąć, z racji remontu, więc parę dni skupienia zrobiliśmy u Jezuitów w Przegorzałach. Miał dla nas nauki O. Jan, na temat „Być znakiem jedności, aby świat uwierzył”. I nagle powiał Duch Święty i coś nas odmieniło – stwierdziliśmy, że przekształcamy naszą grupę we wspólnotę. I oprócz tego, że spotykaliśmy się, jak dotąd, regularnie raz w tygodniu, dodatkowo teraz założyliśmy wspólną kasę i wspólną książeczkę oszczędnościową PKO na hasło, postanowili w miarę możliwości czas wolny i wypoczynek organizować we własnym gronie, nie wspominając o takich drobiazgach, jak przychodzenie sobie z pomocą w razie potrzeby.

Z inicjatywy Alka Wencepela (wówczas jeszcze kleryka), byłem też aktywny ekumenicznie. Poznałem krakowskich ewangelików augsburskich i reformowanych, a przede wszystkim baptystów, do których przychodziliśmy regularnie, co miesiąc. Zorganizowaliśmy nawet w Czernej ekumeniczny dzień skupienia. Pamiętam jak przy zmywaniu naczyń doszło do dyskusji eklezjologicznych i jak baptystki się zarzekły, że u nich nie ma żadnych świętych i nie będzie!

Działalem jeszcze w grupie wolontariuszy wspierających krakowski Telefon Zaufania (dopóki nam władza ludowa tego nie zakazała), śpiewałem w Folk Studio Adama Macedońskiego, natomiast opuściłem Skalnych. I tak dziwię się dziś, jak wtedy na to wszystko znajdowałem czas.

Każda z tych rzeczy zasługuje na osobne szersze opisanie, tu o nich wspominam, jako o tle na którym rozwijało się moje zainteresowanie taizowskie. Nasz adres trafił do ludzi związanych z Taizé, jako adres osób zainteresowanych i zaczął pocztą przychodzić do nas List z Taizé.

Pytania postawione w Taizé, w 1971:

Jak analizować wydarzenia, jak stać się świadomym wszystkich sytuacji, w których człowiek pada ofiarą człowieka? Tyle rzeczy, co mają człowieka wyzwolić, jeszcze bardziej go pęta, a my w tym uczestniczymy. Jak to można zmienić? Czym jest wyzwolenie? Jak kroczyć do końca, aż do oddania życia?

I jak żyć Radosną nowiną na co dzień?

Powracający z Taizé młodzi tworzą u siebie „komórki”, niewielkie grupki oparte o wspólną modlitwę, angażujące się w pomoc potrzebującym. Niektórzy wyjeżdżają z pomocą do krajów trzeciego świata...

Na rok 1972 jako temat przygotowań jest „**Chrystus zmartwychwstały udzieli nam wyobraźni i odwagi, byśmy mogli się stać znakiem sprzeciwu**”. Ciekawa różnica w stosunku do Radosnej nowiny – tam mowa o otwarciu drogi pojednania, tu o byciu znakiem sprzeciwu. Wobec sytuacji, w której człowiek pada ofiarą człowieka trzeba być znakiem sprzeciwu. Trzeba, wobec konsumpcyjnego stylu życia, wobec postawy osiągania zysku za wszelką cenę. Nie należy bać się ryzyka. Musimy przełamywać kryzys, w jaki popadło zaufanie człowieka do człowieka. I posługiwać się ubogimi środkami.

Na Wielkanoc 1972 ogłoszono, że Sobór Młodych rozpocznie się w 1974 r!

I kolejne pytania: Jaka winna być metoda pracy Soboru Młodych? Jakie główne tematy powinien podjąć? Jak powinien wyglądać styl życia osób szczególnie zaangażowanych w przygotowanie Soboru? Jak nieść święto Chrystusa Zmartwychwstałego dzisiejszemu społeczeństwu? Jak Kościołowi pomóc odnaleźć nowe oblicze? Jakie gesty odwagi odnaleźć w swoim życiu?

Kiedy czytaliśmy materiały z Taizé, odczuwaliśmy rodzaj dumy z Kościoła w Polsce. Czyż nie jest to wzór Kościoła przyszłości? Kościół pozbawiony aparatu władzy, Kościół posługujący się ubogimi środkami, Kościół, który zachował zaufanie społeczeństwa, Kościół bliski ubogich i prześladowanych. Czyż samo nasze istnienie nie jest odpowiedzią na wiele pytań stawianych na Zachodzie? Mają rację, że chcą wciągnąć do sprawy ludzi z Polski. Mamy czym się z nimi podzielić.

Nie tworzymy w Polsce komórek taizowskich, ale zato właśnie stworzyliśmy własną wspólnotę. I nie potrzeba nam impulsu z Taizé, aby się modlić wspólnie z naszymi „braćmi odłączonymi”.

W roku 1972 ponownie dwaj bracia z Taizé przyjechali na tydzień eklezjologiczny. O ich wizycie tym razem napisał Tygodnik Powszechny, wraz z informacją o Soborze Młodych i reportażem Krzysztofa Jedlińskiego, który w 1971 roku był w Taizé i uczestniczył w przygotowaniach. Przy okazji spotkań, brat Clement spytał moją siostrę, czy dała swoje dane do zaproszenia. Gdy usłyszał, że nie, powiedział, że do Taizé powinni z Polski przyjechać przede wszystkim osoby w to zaangażowane, a nie przypadkowe, które chcą przejechać się na Zachód. Wobec tego otrzymał dane siostry i przy okazji i moje.

W marcu 1973 każde z nas otrzymało z francuskiego biura podróży TourPol list, że „zgodnie ze zleceniem naszej rodziny, przysyłają dokumenty niezbędne do załatwienia wyjazdu do Francji”. Było tam zaproszenie poświadczane przez merostwo przez polską ambasadę w dwóch odcinkach – dla polskiego biura paszportowego i konsulatu francuskiego, oraz był bilet kolejowy (open) Zgorzelec Paryż i Paryż –Zgorzelec.

Należało z biletem iść do Orbisu i uzyskać zaświadczenie o posiadaniu opłaconego biletu na przejazd do Francji i z powrotem. Następnie w biurze paszportowym złożyć podanie o paszport do Francji, załączając zaproszenie i zaświadczenie Orbisu. Następnie należało w konsulacie francuskim złożyć podanie o wizę, załączając francuski odcinek zaproszenia poświadczony w merostwie. Po paru tygodniach otrzymywało się promesę wizy. Z tą promesą trzeba się było zgłosić po odbiór paszportu (2 miesiące czekania na decyzję), następnie z paszportem i promesą raz jeszcze w konsulacie załatwić wizę francuską. Mając wizę francuską należało z kolei w Ambasadzie Niemiec Zachodnich uzyskać wizę tranzytową dwukrotną. I na końcu załatwić w Orbisie miejscówki na pociąg i wykupić bilet Kraków-Zgorzelec i Zgorzelec Kraków.

Ja jeszcze musiałem dodatkowo do podania o paszport podać planowany termin wyjazdu i załączyć zaświadczenie z pracy, że dostanę urlop w tym terminie. Hance zaproszenie przysłał pewien Jacques, mnie z kolei Sylvaine. Kim oni mogą być? W jednej z rubrik zaproszenia odnajduję, że Sylvaine pracuje na etacie w centrali związków zawodowych.

5. Kilka drobiazgów, komunია czy wspólnota?

Osoby zaangażowane w Sobór Młodych wytworzyły swoje emblematy, być może niektóre z nich już wcześniej bracia sprzedawali, jako „pamiątki z Taizé”, teraz jednak zaangażowani młodzi przyjęli je za swoje. Jednym z takich emblematów był „kaju” (caillou, czyli kamyk). Kulka glinki ceramicznej, w której odcisnięto kciuk, potem przekłuto i wypalono. Odcisk kciuka był wgłębieniem zabarwionym niebiesko, reszta biała. Przez przekłucie przewlekało się rzemyk i można było to nosić na szyi.

Nawiązywało to do Apokalipsy: „Zwycięzcy dam manny ukrytej i dam mu biały kamyk, a na kamyku imię nowe, którego nie zna nikt, prócz tego, kto je otrzymuje”

Moja siostra dostała taki kamyk w Erfurcie. Miałem ochotę też mieć taki kamyk. Nie pamiętam, jak do tego doszło, ale na żadnym spotkaniu z braćmi nie udało się mi go

otrzymać. Bracia przywozili ich zbyt mało i zawsze dla mnie brakowało, nie umiałem się w porę dopchać i dopominać. Być może przychodziłem za późno?

Innymi emblematami były cztery wersje krzyża, też do noszenia na rzemyku, ale dowiedziałem się o nich dopiero w Taizé.

Temat na rok 1973 jeszcze bardziej odbiegał od tekstu Radosnej nowiny: „**Walka i kontemplacja, by stać się człowiekiem komunii**”.

Komunii? A może „wspólnoty”? A może „zjednoczenia”? Jak właściwie należy tłumaczyć francuskie „communion” (nie „commune” ani „communaute”)? Początkowo byłem zdania, żeby używać jednak raczej „zjednoczenie”, bo „komunia” jest niezrozumiała, zbyt Polakom się kojarzy z Eucharystią. Jednak później, większość polskich taizowców była zdania, że wobec braku polskiego odpowiednika, najlepiej pozostawić „komunia”. Tu chodzi o duchową jedność, łączność, wzajemne rozumienie się.

Aby stać się człowiekiem komunii, człowiekiem wspólnotowego ducha... Prawdę mówiąc wielu bliskich uważało mnie za takiego człowieka i skłonny byłem im przyznawać rację, a w każdym razie w tym kierunku pracowałem nad sobą, do tego zachęcała mnie M.Imelda, tam upatrywała mój charyzmat. Nie wiem, z perspektywy czasu, czy słusznie. W każdym razie wielokrotnie doświadczałem ducha wspólnotowego, i to niekoniecznie na gruncie kościelnym. Powiedziałbym, że raczej zawdzięczałem go górcom. Obozy Koła Przewodników Studenckich, czy Klubu Wysokogórskiego były przesiąknięte duchem wspólnotowym – góry były tym, co łączyło nas i to nad wyraz silnie. Tego ducha przenosiłem na obozy Naukowego Koła Fizyków, Studentów UJ i zapewne stąd pochodziła opinia M.Imeldy. I później zresztą podobnie się wypowiadały osoby, które chodziły ze mną po górach. Ale ewidentnie nie potrafiłem takiego ducha np. narzucić Zespołowi Góralskiemu, gdy mu przejściowo kierownikowałem.

Na gruncie kościelnym wspólnotowego ducha też doświadczałem – różne obozy DA, czy ostatnio nasza wspólnota.

Walka i kontemplacja... słowa spoza Radosnej nowiny.

Walka w nas samych, byśmy wyzwolili się z wewnętrznych więzów, byśmy nie musieli innych ludzi przymuszać, byśmy odrzucili wszystko, co przeszkadza komunii.

Walka u boku człowieka biednego, by jego głos był usłyszany, by przełamać ucisk, byśmy razem odrodzili się do komunii.

Kontemplacja, by szukać komunii z Chrystusem Zmartwychwstałym, aż się odmieni powoli nasze spojrzenie i będziemy na innych ludzi i na cały świat patrzeć oczami samego Chrystusa.

Wielkie, wielkie zdania. Wielkie zadania. Mogę mówić o sobie, że jestem człowiekiem komunii, ale czy mogę powiedzieć, że patrzę na świat oczami Chrystusa?

„...Będąc pewny zbawienia tylko przez łaskę Pana, Jezusa Chrystusa, nie narzucasz sobie ascezy dla niej same. Twoje dążenie do panowania nad sobą zmierza tylko do osiągnięcia większej dyspozycyjności. Bez zbytecznych wyrzeczeń bierz się do dzieł zaleconych przez Boga. Nieść ciężary bliźnich, pozwalaj, by nas raniły nędze dnia powszedniego, by przez to mieć udział konkretny w cierpieniach Chrystusa – oto nasza pierwsza asceza...”

Nigdy nie stój w miejscu; idź naprzód razem ze swymi braćmi. Biegnij do celu śladami Chrystusa. A Jego ślady – to droga i światłość: Jam Jest – ale również i wy jesteście światłością świata. Żeby cię przeniknęła światłość Chrystusa nie wystarczy, byś ją kontemplował, jakbyś był tylko czystym duchem: musisz się tej drodze oddać zdecydowanie, duchem i ciałem.

Bądź wśród ludzi znakiem miłości braterskiej i radości.

...Kochaj wydziedziczonych, tych, którzy żyjąc pośród ludzkich niesprawiedliwości łakną ipragną sprawiedliwości: Jezus okazywał im szczególne względy, nie lękaj się brać na siebie ich trosk,

...Miłuj bliźnich swoich, jakiekolwiek byłyby ich przekonania religijne lub polityczne.

Nie przyczyniaj się w żaden sposób do podtrzymywania gorszących podziałów między chrześcijanami, którzy głosząc tak łatwo miłość bliźniego, wciąż są podzieleni.

Żarliwie służ jedności Ciała Chrystusowego.”

Fragmety tzw. Reguły Taizé.

6. Chludowo 29.04.1973

Inicjatywy te szły dalej. Szło przede wszystkim o młodzież z NRD. O ile Polacy, zwłaszcza w początkach Gierka, z wielkimi problemami, ale jednak wyjeżdżali na Zachód, to Czechom było trudniej, a Enderowcy mieli absolutny szlaban. Więc postanowiono zorganizować spotkanie taizowskie po tej stronie żelaznej kurtyny, ale nie w NRD pod czujnym okiem Stasi, a w Polsce, gdzie „śruba” najluźniejsza.

Wybór miejsca powierzono Poznaniakom, którzy zdecydowali na się Chludowo. Jako termin wybrano 28 kwietnia – 1 maja. 1 maja był wolne od pracy, a 29 kwietnia była niedziela., biorąc 1 dzień urlopu miało się 3 dni wolne ciurem. Hanka przyjechać nie mogła, bo akurat maj to spiętrzenie obowiązków w PWSM. Wypadło mi jechać samemu. Wyjeżdżając z Krakowa po południu, mogłem dojechać dopiero na 29. Myślę, że Chludowa opisywać nie trzeba.

Poza Poznaniakami i O. Badenim, kilka osób z różnych stron Polski, z Krakowa, chyba tylko jeden mało mi znany chłopak, o imieniu Adam. Sporo osób z NRD, głównie ze Schwerinu, z Czechosłowacji parę. Msza św. Zwraca uwagę Marek, w pierwszej chwili powiedziałbym, że małpuje zachowanie się braci z Taizé, potem jednak stwierdziłem, że on się w tych gestach autentycznie wyraża, po prostu przyjął je za swoje. Oprócz niego, z organizatorów spotkania, zwraca uwagę Magda, dobrze zorientowana w sprawach taizowskich, a przy tym wiedząca, czego chce, zdecydowana i pewna siebie.

Na początku zapoznajemy się – każdy opowiada o sobie. Ciągnie się to długo, bo osób jest sporo, a z braku wspólnego języka każdą wypowiedź trzeba tłumaczyć. Mnie osobiście, takie przedstawiania się, w licznej grupie, dają niewiele. Nie mam dobrej pamięci, już po 6 osobie robi mi się w głowie mętlik i zapominam, kto jest kim. Zapewne gdybym notował, byłoby ciut lepiej, ale też bym nie pamiętał, która notatka kogo dotyczy.

Dzielimy się na grupki, rozmawiamy o Zmartwychwstaniu i o świętowaniu Wielkanocy w świecie. Poza tym spotykamy się na modlitwie taizowskiego oficjum.

Jakoś wszystko to wydaje mi się nienaturalne i skomplikowane, nie bardzo przystające do naszego spotkania, głównie przez problemy językowe. Mam wrażenie, że można by to wszystko zrobić sprawniej i skuteczniej, gdyby metodę pracy dostosować do sytuacji, mniej naśladować sposoby wypróbowane w Taizé.

Wreszcie dojechała i grupka dziewcząt z Francji, Szwajcarii, RFN, zaangażowanych w Sobór Młodych. Spotyka mnie rozczarowanie – nikogo znajomego, ani nikogo z osób, co przysłały nam zaproszenia. Podejrzewam jednak, że Brigitte może być jedną z grupki, którą Hanka poznała w Erfurcie.

7. Chludowo – 30.04.1973

W poniedziałek 30 kwietnia, zaczęły się znowu przedstawiania kto jest kim, dalej z tłumaczeniem, w gronie jeszcze szerszym, co zabrało czasu jeszcze więcej. Tym razem już zaczynam rozróżniać więcej osób z Polski. Od części biorę adresy (myśleliśmy o podtrzymywaniu kontaktów w przyszłości, o odwiedzaniu się – ale, jak to zwykle bywa, życie potoczyło się inaczej i nie spotkaliśmy się nigdy).

Tematem roboczym była „Wolność jako obowiązek”. Prawdę mówiąc już nie pamiętam, co w tej dyskusji powiedzieliśmy i co z tego wynikało. Poza tym trochę opowiadaliśmy o sytuacji w naszych krajach, jakie są różnice w stosunku władz do Kościoła. Zdawałoby się, że w NRD jest pod pewnymi względami lżej. Władze pozwalają na różne formy działalności, na które w Polsce nigdy nie było zgody. Ale w NRD jest to dlatego, że udział wiernych nie jest liczny i jest to pod inwigilacją, by nie rzec kontrolą bezpieczeństwa.

Brat Rudolf mówi, że Sobór Młodych nie ma polegać na obradach jakichś delegatów w Taizé. Sobór ma się dziać w każdym kraju, gdzie młodzi chrześcijanie tego zechcą. Polacy niech w Polsce organizują Sobór Młodych, NRD-owcy w NRD, Czesi i Słowacy w Czechosłowacji. Sobór nie ma być po to, by więcej młodzieży do Taizé przyjeżdżało. I bez tego są tam tłumy. Nie ma po co przyjeżdżać do Taizé.

Mając zaproszenie do Francji w celu przyjazdu do Taizé – poczułem się nieco nieswojo. Zamierzałem rozmawiać o swoim przyjeździe z bratem Rudolfem, ale w tej sytuacji zrezygnowałem. Zapewne brata Rogera musiano nieźle mękolić o zaproszenia do Francji i stąd jego sprzeciw, ale czy bym znalazł z nim wspólny język? Ach, to nie brat Clement, ani brat Klaus.

W Taizé była Magda i dość jest oblatana. Przyjechać najlepiej w niedzielę, bo wtedy jest „wymiana turnusów”. Działają namioty przyjąć, wykupuje się bloczki na wyżywienie, dostaje przydział do grupy itd. Bloczki na wyżywienie są dla większości płatne. Apeluje się (skutecznie) do lepiej sytuowanych osób z krajów bogatych, by płacili podwójną cenę, z nadwyżki finansuje się bloczki bezpłatne, które się wydaje ubogim z krajów trzeciego świata, a także nam Polakom – my, to jesteśmy nawet nie trzeci, ale czwarty świat.

Przez część popołudnia pielimy zagon truskawek. Podczas roboty, pokonując problemy językowe, próbujemy rozmowy o studiach, pracy...

Wieczorem odbywa się taizowskie święto. Wspólne śpiewy, wspólna zabawa, taniec – z początku jest to nienaturalne, wymuszone, sztuczne, ale bywali taizowcy robią to z takim przekonaniem, że udaje się im wszystkich rozkręcić ożywić i święto nabiera rumieńców. Śpiewamy „Stary niedźwiedź mocno śpi”, Tańczymy labado, i inne zabawy przedszkolne, śpiewamy Alleluja, zgrywamy się, aby więcej śmiechu i znowu śpiewamy Alleluja.

8. Chludowo 1.05.1973

We wtorek 1 maja od rana trwały dyskusje, podsumowania, plany na przyszłość. I prawie zaraz pożegnania, już się zaczynają pierwsze odjazdy. Niemcy są szczęśliwi i zachwyceni atmosferą. Nie oczekiwali, że możliwa jest taka serdeczność w relacji polsko-niemieckiej. Pierwszy raz się z tym spotkali. To dla nich była jedyna okazja poznania atmosfery Taizé, odczucia ducha wspólnoty.

Przy jakiejś okazji zaczepiam Brigitte. Mówię jej, że w lipcu przyjadę do Taizé, ale z początku nie bardzo ona łapie moją kulawą francuszczyznę. Myśli, że potrzeba mi do Taizé zaproszenia, zaczyna notować mój adres i nagle dociera do niej, że już mam wszystko co trzeba. Ucieszyła się. Wspaniale, ona będzie w Taizé latem, to na pewno się zobaczymy. Pytam o Sylvaine, o Jacquesa – ale imiona i nazwiska nic jej nie mówią, chyba ich nie zna. Trudno znać osobiście wszystkich, co pojawiają się w Taizé, są ich tysiące.

Jeszcze rozmawiam z Markiem, który planuje dłuższy pobyt w Taizé (za jakiś czas przystąpił do braci). Jeszcze Msza święta

I wracamy silną, międzynarodową grupą do Poznania, gdzie się jeszcze święci 1 maja. Wykorzystujemy to. Nie będzie władza ludowa rozpędzać zbiorowisk 1 maja, nawet gdy nie są po linii ani na bazie. Asystując na dworcu wracającym do Francji śpiewamy chórem Alleluja. Z kolei ciągniemy do kogoś do domu i znowu śpiewamy, potem odwiedzamy Magdę, gdzie na chwilę się zatrzymujemy i dobywa się kolejna dyskusja polsko-niemiecka. I znowu ze śpiewem na dworzec. Wyraźnie zwracamy na siebie uwagę przechodniów, którzy słyszą, że nasze śpiewy są niezbyt pierwszomajowe, co na ogół ich cieszy. Od pociągu do pociągu i radośnie, na wesoło. W końcu i mnie wypadło wsiadać i zostawić ostatnich żegnających.

Władza ludowa zareagowała z opóźnieniem. Mam podejrzenie, że to NRD-owska Stasi zrobiła im awanturę, że tolerują takie imprezy na swoim terenie. Bezpieka ciągała Poznaniaków na przesłuchania: Kto wpadł na pomysł zaproszenia Niemców z NRD? Kogo zapraszano? Kto to organizował? Wyraźnie dało się odczuć, że ten udział NRDowców im najbardziej doskwiera.

- A co w tym złego? Przecież Polska i NRD to bratnie kraje, przyjaźnimy się. Więc to chyba naturalne, że zawieramy przyjaźnię z młodzieżą NRD, że się spotykamy. Umacniamy w ten sposób bratnią przyjaźń polsko-niemiecką.

- Nie udawajcie durniów. Od przyjaźni polsko-niemieckiej są ZMS i FDJ, a wy się macie nie wtrącać.

9. Ostatnie dni przed wyjazdem

Zachował się u mnie pakiecik różnych materiałów dotyczących Taizé, niektóre numery *Lettre de Taizé*, niektóre komunikaty, biuletyny i brudnopisy moich przekładów, notatki, jakie sobie robiłem.

Nie pamiętam, czy w Chludowie dostałem pierwsze komunikaty z Taizé po polsku, chyba tak, bo materiały przysyłane do nas pocztą były po niemiecku, czasem angielsku. Polszczyzna tekstów była bardzo chropawa, widać, że to jakiś przypadkowy Polak, który akurat trafił do Taizé tłumaczył na kolanie. Swoje przekłady uważałem za lepsze, tyle że mogłem je co najwyżej przepisać na maszynie w paru kopiach. W Taizé natomiast były powielacze (a może nawet pierwsze xero?). Dostałem tekst na rok 1973, a także przeszły za rok 1972. Mógłbym je tu przytoczyć, ale czy warto?

Na Zielone Świąta po raz pierwszy przyjechał do Polski brat Roger. Towarzyszył mu brat Klaus – katolicki kapłan, który otrzymał zgodę na wstąpienie do wspólnoty Taizé. Nie muszę wyjaśniać, że byliśmy na spotkaniu, powiadomiliśmy, że przyjedziemy do Taizé, o ile władze nie odmówią nam paszportu, z Klaudem rozmawialiśmy chwilę o problemach ekumenizmu, w zasadzie powtórzył to, co już poprzednio słyszeliśmy.

Nic nie zapisałem z wypowiedzi brata Rogera, czy z rozmowy z nim, ale dziś, gdy zaglądam do książki „Wybrać miłość” (Wyd. św. Wojciecha, Poznań 2008) jakby ozywają we mnie tamte chwile – spotkania z człowiekiem o wysokiej osobistej świętości.

„W młodości byłem zdumiony, widząc, że chrześcijanie, wyznając Boga miłości, tyle energii wkładają w uzasadnienie tego, co dzieli. Tak, dużo energii wkładamy w wynajdywanie różnic, ich wyolbrzymianie, uzasadnianie, dogmatyzowanie... Aby działać na rzecz przezwyciężenia podziałów, nasze życie musi się stać przypowieścią o pojednaniu, przypowieścią o komunii. Mówimy: Wierzę w JEDEN... Kościół, ale czynem świadczymy o wierze w Kościół podzielony, pozbawiony widzialnej zewnętrznej jedności. Uważamy się za jedynych dziedziców Kościoła Powszechnego od którego inni się odłączyli, a więc wyłączyli. Tak jest prawda. A właściwie jest ona pół-prawdą.”

Słuchamy relacji, jak bracia usiłują wesprzeć miejscowych rolników, jak utworzyli kooperatywę, jak próbują pomagać bezrobotnym, imigrantom, jak zaczynają zakładać wspólnoty poza Taizé, tam gdzie panoszy się największa bieda.

W moich notatkach robiłem błędy. Np. napisałem w poprzednim tekście, że najlepiej do Taizé przyjechać w niedzielę, ale zamiast niedziela powinno być poniedziałek, musiało mi się coś w notatkach pomylić. W każdym razie po rozmowie z bratem Klaudem ustaliliśmy, że do Taizé przyjedziemy w poniedziałek 23 lipca 1973. Ponieważ z kolei nasz bilet kolejowy ważny był na wyjazd we środę, przyjazd do Paryża w piątek, pozostawał problem, gdzie podziąć się w Paryżu od piątku do poniedziałku. Mam kuzynkę zamężną za Francuzem, na stałe zamieszkałą w Paryżu, ale akurat wtedy miała być w Polsce. Ale wymieniła mi nieco złotych na franki, bowiem osobom wyjeżdżającym na zachód na zaproszenie nie miały prawa ubiegać się o gierkowski przydział dewiz, który zresztą przyznawano coraz rzadziej. Mogliśmy legalnie z Polski wywieźć ekwiwalent 5 dolarów. Kuzynka, bym nie musiał nielegalnie wymycać dewiz z Polski, wypisała mi czek imienny płatny w określonym banku w Paryżu.

Na wszelki wypadek napisaliśmy też do Jacquesa i do Sylvaine, ale baliśmy się pisać otwarcie, by bezpieka kontrolująca listy nie połapała się, by nie zaszkodzić sobie w staraniach

o paszport. W związku z tym i odpowiedź nie była jasna, choć pozwalała żywić nadzieje, że zajmą się nami w Paryżu.

Jakoś z początkiem czerwca przyszło zawiadomienie o przyznaniu paszportu. I zaraz potem o promesie wizy. Odstajemy więc po kolei kolejkę w konsulacie, po paszport i ponownie w konsulacie. I na końcu w Orbisie. Jest jeszcze jedna rzecz do załatwienia. Otóż Hanka, moja siostra, ma w lipcu seminarium pianistyczne w Weimarze, więc połączy oba wyjazdy. Załatwia sobie wyjazd wcześniejszy i przerwę w podróży – Weimar. Ale w Orbisie radzą, żeby pilnować, by ktoś w Polsce nie zajął jej miejsca.

Jeszcze raz wysyłamy listy do Paryża. Hanka informuje Jacquesa o godzinie przyjazdu pociągu, że będzie mieć różowy plecak i na nim misia oraz że jej będzie towarzyszyć brodaty brat. Ja piszę podobnie do Sylvaine, ale znacznie oględniej. Nie chciałem jej stawiać w sytuacji przymusowej, nie wiedząc o niej nic, poza tym, że jest sekretarką w centrali związków zawodowych.

Po wyjeździe Hanka do Weimaru, składałam w pracy podanie o urlop. Urlop miałem już zaplanowany od początku roku na okres 16.VII – 15.VIII, dodatkowo proszę o 6 dni urlopu bezpłatnego, uzasadniając że jadę do Francji i mam bilet powrotny na określony dzień. Otrzymuję zgody kolejnych przełożonych, ale kadry mi podanie zwracają i każą napisać jeszcze raz, ale bez jakiegokolwiek wzmianki o wyjeździe zagranicznym. Bo jeśli urlop bezpłatny wiąże się z wyjazdem za granicę, to dyrektor przedsiębiorstwa nie ma prawa udzielić zgody, zgodę może udzielić dopiero sam minister. Oczywiście, mogę i do ministra pisać podanie, ale już na to za późno, należało pisać w kwietniu. Więc składałam ponowne podanie, bez żadnej wzmianki o wyjeździe, aby decyzja była w gestii dyrektora – po czym dostaję na to decyzję odmowną. Z jakichś powodów dyrektor (stary ubek) bał się udzielić mi zgody.

Pozostało mi więc przesunąć urlop o trzy dni, a że 15.VIII święto, do pracy muszę iść dopiero 20.VIII. Może w Paryżu uda się w biurze podróży zmienić bilet powrotny. Na przesunięciu urlopu o trzy dni otrzymałem łaskawą zgodę.

Dodam, że byłem już we Francji dwukrotnie z zespołem góralskim Hyrni w 1962 i 1965. Można powiedzieć, że już trochę poznałem Paryż. Poza tym byłem też w Turcji i Szkocji. Hanka z kolei była w Szwajcarii i Austrii. A więc w jakimś stopniu jesteśmy obcy z podróży za kurtynę.

10. Podróż i pierwsze dni w Paryżu 18-21.07.1973

Nadeszła wreszcie środa, 18 lipca 1973. Wieczorem wsiałam do sypialnego wagonu jadącego do Paryża, by w czwartek dotrzeć do Zgorzelca i przekroczyć (przejechać) polską granicę. Pozwoliłem w Krakowie zająć miejsce siostry, uprzedzając, że tylko do Weimaru, gdzie ona się dosiadzie. Nie bardzo mi dowierzano, niemniej w Weimarze Hanka czekała na peronie. Odniosła sukces na seminarium pianistycznym: zakwalifikowała się na aktywną uczestniczkę, przyjęła ją Helen Boschi, i pod jej kierunkiem pokazywała problemy interpretacyjne i wykonawcze drugiego zeszytu preludium Debussiego. W Eisenach pociąg miał tak długi postój, że mogliśmy (co prawda pospiesznie) zwiedzić muzeum-dom Bacha. Przekraczanie „żelaznej kurtyny” odbyło się z całym ceremoniałem też wartym osobnego opisanie. I kolejny długi postój, głęboką nocą, we Frankfurcie nad Menem. Wyszliśmy na miasto i podziwialiśmy witryny sklepów, pełne towarów po astronomicznych, z naszego punktu widzenia, cenach. Kolejna granica została przebyta błyskawicznie i rankiem znaleźliśmy się na Gare du Nord.

Przy wyjściu z dworca podeszli do nas państwo wyglądający niemal dokładnie, jak monsieur i madame Thibaud z francuskiego podręcznika. Powiedzieli, że są rodzicami Jacquesa, który dopiero jutro wróci z obozu w górach, a ponieważ zapowiedzieliśmy przyjazd, przyszli nas w jego zastępstwie odebrać. Zagadnąłem ich o Sylvaine. Znają ją, to koleżanka Jacquesa, ale teraz jest w pracy, możemy się z nią skontaktować wieczorem. Wsadzili nas do żabiastego Citroëna o zmiennym zawieszaniu (taka moda wtedy była na

samochody) i zawieźli do siebie, do Colombes pod Paryżem. Powiedzieli, że możemy na razie rozgościć się u nich, mają miejsce.

Zjadłszy śniadanie i zostawiwszy rzeczy, wyruszyliśmy do Paryża. Zaczęliśmy od Sacre Coeur, potem poszukaliśmy ks. Adama Bonieckiego, który był od kilku miesięcy w Paryżu. Niełatwo odszukaliśmy jego poddasze, nie znalazłszy ani jego, ani konsjerżki, zatykamy mu list za drzwi. Zostało nam mało czasu do powrotnego pociągu do Colombes, a trzeba by zadzwonić do Sylvaine. Była w domu, zaprosiła nas jutro na lunch.

Po powrocie do Colombes mamy telefon od ks. Adama. Ponieważ jutro wyjeżdża do Brestu, proponuje nam, byśmy u niego zamieszkali. „Nie wypada siedzieć na karku naszym zapraszającym”. Dość, że nam załatwili zaproszenia o pokryli koszty podróży, nie można ludzkiej gościnności nadużywać. Umawiamy się jutro, w kościele przy Faubourg Saint Honore.

By zrobić gospodarzom przyjemność, korzystając, że mają fortepian, Hanka popisuje się swymi umiejętnościami. Gospodarze są zachwyceni. I oczywiście nie chcą słyszeć, byśmy się od nich wynieśli. Dają do naszej dyspozycji pięterko domu. Tu stale ktoś gości. Jacques to zaprasza jakichś Hindusów (należy do jakiejś grupy pomagającej Indiom), to Afrykanów. Są do gości przyzwyczajeni i nasz pobyt tu nie jest niczym niezwykłym, ani kłopotliwym. A że nie jesteśmy jakimiś łachmytami, czy hipisami, ale ludźmi kulturalnymi, z którymi jest o czym rozmawiać, to nie tylko Jacques, ale i oni będą mieli coś z naszego pobytu. Zdaje się i nasze zaangażowanie kościelne jest akurat w granicach, jakie aprobują. Bez nawiedzeń, dziwactw itp.

Głęboką nocą obudził nas gwałtowny błysk wszystkich świateł w domu, po czym zabrzmiał głos dzwonka. To wracał Jacques. Zaszedł na pięterko przywitać się z nami, bo i tak byliśmy przebudzeni. Ale to trwało tylko moment.

Rano, w sobotę 21 lipca, ojciec Jacquesa uparł się, że osobiście nas odwiezie do Paryża, na Faubourg Saint Honore. Idziemy do zakrystii spotkać się z Adamem i zostajemy na Mszy św. Msza jest w zasadzie dla Polonii, ale przychodzi na nią też sporo Francuzów nie mających nic z Polską wspólnego. Zdaniem Bonieckiego, to ci, co się nie mogą odnaleźć po reformie liturgii. Przyszli, bo Msza jest po łacinie, w bocznej kaplicy, tyłem do ludu. A może odgrywa też pewną rolę sama osoba Bonieckiego, widać, że każda Msza, którą odprawia stanowi dla niego przeżycie.

Tłumaczymy, że nie skorzystamy z jego gościnności, bo wyprowadzka z Colombes byłaby wręcz nietaktem. W porządku, będziemy się jednak musieli spotkać z jego konsjerżką, bo się nas spodziewa, po co ma nas wyglądać na darmo i się denerwować. Chwilę pospacerowaliśmy po Paryżu, odprowadziwszy Adama na dworzec. Ale wnet się rozpadła deszcz, więc wróciliśmy do Colombes.

Do Sylvaine zawiózł nas Jacques i przy okazji dowiedzieliśmy się, że do Taizé jedziemy już jutro, w niedzielę. Jacques sam się udaje do Taizé, więc nas zabierze ze sobą i jeszcze jedną dziewczynę przy okazji. U Sylvaine było wesoło, pośpiewaliśmy sobie wspólnie. Sylvaine mówi, że dwa pokoje, które wynajmują studentki, są akurat puste, więc jak wrócimy z Taizé możemy się u niej zatrzymać, zawsze to Paryż, i Montmartre, po co mamy tracić czas na dojazdy. Jacques aprobuje, skoro nie będzie nas, to będzie mógł znowu zaprosić jakichś Hindusów.

Po załatwieniu sprawy z konsjerżką Adama wracamy do Colombes. A tam okazało się, że gospodarze musieli pochwalić się wszystkim sąsiadom dookoła, kogo to goszczą, więc sąsiedzi zaprosili nas do siebie, sprosili jeszcze parę osób, aby posłuchać gry Hanki. Grała Mozarta, Beethovena, ale oczywiście perłą był wyszlifowany w Weimarze Debussy. Nie było końca gratulacjom i zachwytom.

Jeszcze robimy selekcję naszych rzeczy, by nie zabierać do Taizé niczego zbędnego. Żadnych menażek, sztućców, kubek – może być mały plastikowy do mycia zębów, w zasadzie wystarczą śpiwory, parę zmian odzieży, biblia, słowniki, notatniki. Nawet apteczka

nie jest bezwzględnie konieczna, jest w Taizé punkt medyczny, chyba, że coś chcemy koniecznie mieć pod ręką. Resztę możemy zostawić gospodarzom na przechowanie. Jutro o 8 rano wyjazd.

11. Niedziela 22 lipca 1973 -

Wyjazd o 8 okazał się, po wczorajszym koncertowaniu pobożnym życzeniem, bardziej zresztą z uwagi na gospodarzy, niż na nas, doszło do opóźnienia półtoragodzinnego. Pojechaliśmy najpierw pod paryskie *cite universtaire*, gdzie dosiadła się Marie-Claude. Wyglądem kontrastuje z Jacquesem. J. to elegancik, na wyjazd ubrany niemal po miejsku, bez żadnego emblematu Taizé, MC. natomiast jest w znoszonej podróbce dżinsów, flanelowej bluzie, naddartych tenisówkach, niemniej wszystko bardzo czyste, widać starała się przed wyjazdem jakoś doprowadzić do porządku, ale jest młoda, by nie rzec smarkata i wyraźnie niezamożna. Gdyby przenieść ją do Polski, mogłaby za Polkę ująć, niewysoka, przeciętnej urody; J. jest natomiast, podobnie jak jego rodzice, wyjęty z francuskiej książki. MC. nosi na szyi drewniany krzyż kameruński, który wygląda jak coś pośredniego pomiędzy krzyżem a gwiazdą.

W drodze Hanka szczebioce do J., poszerzając swój francuski, ja i MC. raczej milczymy. MC. zapewne krępuje się, ja z kolei mam zbyt skomplikowany sposób myślenia, by wyrazić cokolwiek przy pomocy mego ubożego francuskiego słownictwa.

Jedziemy szosą państwową (nie autostradą) na południe. W Baubigny przystajemy przed gotycką katedrą. Akurat zaczyna się Msza św. więc już zostajemy na niej. Ani J. ani MC. nie przystąpili do komunii. Czemu?

Kolejny postój koło południa, na posiłek, w jakiejś przydrożnej kafejce. Okazało się jednak, że miejscowy kelner zupełnie nie rozumie mojego zamówienia. J. i MC twierdzą, że to nie moja wina, oni mnie doskonale zrozumieli – więc co? Akcent? Dialekt? Wsuwamy w siebie coś w rodzaju jajecznicy w cieście, bułkę, sery i owoce. Jeszcze raz przystajemy po drodze pod zameczkiem la Rocheport. Stąd już widać Taizé, o, to tamto dalekie wzgórze. Widzę istotnie we wskazanym miejscu pagór o lekko zaokrąglonych kształtach. Krajobraz trudno nazywać jednak pagórkowatym. Jest to typowa polyplena – góry zerodowane, doliny wypełnione, nieznaczne pofalowanie powierzchni.

Ruszamy, minąwszy Cormatin zjeżdżamy na lokalną drogę. Wspina się bardzo stromo do góry, na górze jest płasko i szeroko. Nagle wjeżdżamy w tłum. Wielu do nas macha rękami, po lewej widać łąkę, na niej sporo namiotów, tabliczka „Camping de la croix”. Jeszcze nieco dalej i widać kościół, budynki, wielkie namioty z demobilu. J. znajduje miejsce na zaparkowanie auta. Jesteśmy mówi. Zbliży się godz. 17.

Marie-Claude żegna się z nami, zabiera swoje rzeczy i dołącza się do którejś grupki. A my co mamy robić? Brać nasze plecaki na plecy i co, z nimi się tu szwędąć? Trzeba by najpierw gdzieś się zakwaterować. Gdzie? Patrzymy na Jacquesa. Ale jego rola się skończyła. Dowiół nas, teraz sami musimy sobie radzić. Ma tylko jeden pomysł: „Może spróbujcie iść do Maison Jaune? Zostawcie plecaki u mnie w aucie, dopóki sobie wszystkiego nie załatwicie.” A jak potem plecaki zabierzemy? W najgorszym razie znajdziemy go po wieczornej modlitwie.

Zaraz po paru krokach od kościoła pomiędzy namioty - Natykamy się na Inkę, znajomą z KIK. Cześć!!! Nasze pojawienie się stanowi dla niej zupełne zaskoczenie. Mówi, że za pół godziny Polacy mają „reunion” z bratem Clementem, w Tyńcu czyli w Maison Jaune (bracia nazwali ten budynek Tyńcem, na cześć naszego opactwa, ale nazwa nie upowszechniła się, z racji koloru tynku nazywa się go „dom żółty”). W porządku, od brata Clementa dowiemy się co robić, a skoro jest zebranie Polaków, to musi się znaleźć ktoś, kto nas tu „ustawi” Krążąc między namiotami trafiamy jeszcze na Magdę z W-wy i razem idziemy na spotkanie.

Brat Clement bardzo się cieszy naszym widokiem. I mówi – „udało się, Polaków mamy teraz cały tłum” – (okazuje się, że to znaczy kilkunastu). Spotkanie przebiegało

sympatycznie. Głównie żegnano tych, co tu zakończyli swój tydzień i wyjeżdżają. Był niewielki poczęstunek. Brat Clement udziela z kolei nam rad, zgadzamy się co do jednego, skoro przyjechalibyśmy na 2 tygodnie, najlepiej pierwszy tydzień spędzić w sposób typowy, jak wszyscy, a drugi tydzień będzie specjalny. Jutro zaczynają się „turnusy”, to się zgłosimy do odpowiednich grup. Acha, koniecznie zdeponujcie wszystkie wasze cenne rzeczy, pieniądze, paszporty, by nic nie zginęło. Komuna nie wypuszcza za granicę byle kogo, więc paszporty polskie są bardzo łakomym łupem dla złodziei. A poza tym, pomijając złodziei, łatwo tu różne rzeczy pogubić.

Nie wiadomo jak zleciał czas i pora iść na oficjum wieczorne. U drzwi można wziąć modlitewnik i śpiewnik. Bierzemy. W kościele gromadzą się grupki, poza tym różni ludzie się modlą we wszelkich możliwych pozycjach. Stoją, klęczą, leżą krzyżem, lub zwyczajnie, siedzą na piętach, po turecku, w półłotocie i lotosie... Bracia zajmują miejsca na środku kościoła. Przy bracie Rogerze para małych dzieci. W stosunku do rzymskiego brewiarza – krótsza część pochwalna, za to zwiększona część błagalna. Czytanie powtarzane w kilku językach, część pierwsza prośb wg modlitewnika, część druga czytana z kartek, w różnych językach. Poza tym do nabożeństwa opartego na nieszpórach dodano jakby parę elementów komplety.

I po nabożeństwie.

Co z naszym spaniem? Jedna z Polek, Ewa, mówi: możecie spać gdzie ja, w baraku, zwanym poulail (kurnik). Zaprowadzi nas tam. Pięknie, ale nasze rzeczy są na razie w aucie Jacquesa. Auto odnajdujemy, ale, rzecz jasna, jest zamknięte. Gdzie znaleźć J.? Patrząc za nim widzimy wokoło ludzi jedzących, ale nie wpadło nam do głowy, że sami powinniśmy coś zjeść. Nie mamy zresztą bloczków na posiłek. Na szczęście trochę jedliśmy na polskim *reunion*.

Wreszcie jest J. i są nasze rzeczy, ale zato zgubiła się nam Ewa. Gdzie spać? J. mówi: spytajcie w *tent d'accueil* Ale tam nie możemy się dogadać. Podobno Polaków się gdzieś kwateruje, ale nikt nie wie gdzie. Najprościej będzie, jak znajdziemy w którymś z namiotów wolne miejsce i tam się na razie umieścimy.

Może faktycznie tak najlepiej? Idziemy zdeponować paszporty i pieniądze, zostawiamy sobie tylko parę franków.

Wyszukujemy jakiś namiot, gdzie zdaje się są miejsca i próbujemy się na słomie rozłożyć. Namioty są dość wyeksploatowane, niezbyt szanowane przez gości. Pełno na nich malunków w tyłu dziś zwanym graffiti, ale wrażenie wywołują dość plugawe. Ulokowawszy się prowizorycznie znów wychodzimy patrzeć, co się dzieje. Ktoś pyta, czy już mamy załatwione spanie, mówimy, że zajęliśmy jakieś miejsca w namiocie. A czemu się nie zgłosicie w El Abiod? Rzeczywiście, widzieliśmy budynek z napisem El Abiod, ale właściwie czemu tam? Słyszymy, że tam otrzymują noclegi ci, co chcą spędzić tydzień na milczeniu. Ale przecież to nie my. Tak, ale tam kwaterują także małżeństwa. Ale my jesteśmy rodzeństwem, nie małżeństwem. Ach, właściwie co za różnica ... (nie bardzo rozumiemy uzasadnień, ale co szkodzi spróbować?) Idziemy do tego El Abiod, ale nie ma tam żadnej „repcji” nie ma z kim o zakwaterowaniu rozmawiać, Nie wiadomo kto się tym zajmuje, kto wie gdzie i ile jest miejsc wolnych oraz decyduje komu dać, komu nie. Zachodzimy z jednej i drugiej strony, Hanka się dopytuje, mnie zaś robi głupio i wołałbym wrócić do namiotu. W końcu ktoś znów nas się pyta znów, czy jesteśmy małżeństwem, na odpowiedź przeczącą, mówi, że zakwaterowanie nas tutaj jest absolutnie niemożliwe. Hanka może by próbowała dyskusji, ale ja mam zdecydowanie dość, jestem poirytowany tymi dezinformacjami i niemożnością trafienia na kogoś zorientowanego i kompetentnego.

I nagle wszystko się rozwija: natykamy się na kogoś z Polaków: „Przecież Magda załatwiła, że wszyscy Polacy śpią w pulaju, razem z *equipee d'accueil*”. Wyjaśniamy, że nie wiemy, gdzie jest ten pulaj, więc w końcu nas tam prowadzi. Przenosimy rzeczy i szukamy wolnego miejsca. Na szczęście jest niedziela, sporo osób powyjeżdżało, niemniej ciężko się

zorientować, co jest tu wolne. Łóżka są piętrowe. Najchętniej spalibyśmy na górze, ale skoro na dole są wolne miejsca, to dobrze jest jak jest.

Tylko czy jutro rano zbudzimy się w porę? Uspokajają nas, z tym nie ma problemu, zbudzą nas dzwony, są bardzo głośne.

12. Poniedziałek 23 lipca 1973,

Oczywiście rano nie przebudziły nas dzwony, bo tylko jeden dzwonił i ledwie było go w pulaju słycać. Gdy otwarliśmy oczy była już 7:10. W te pędy pod krany, by się choć ciut obmyć. Krany są na wolnym powietrzu, moc luda się pęta wokół, lub próbuje do kranu docisnąć. Woda zimna. Zaraz potem biegiem z powrotem i biegiem do kościoła.

Poranne oficjum przypomina brewiarzową jutrznię, ale znowu jest tylko jeden psalm pochwalny, i są czytania mszalne – ST i Ewangelia, między nimi responsorium. Przed psalmem nie ma podanej antyfony, zachodzę w głowę, skąd bracia wiedzą, jaka ona jest. Część błagalna także podwójna, ale prośby czytane w części pierwszej są inne niż w książce branej przy drzwiach. Jak się potem okazało, odkąd do wspólnoty dołączyli bracia katolicy, na przemian prośby bierze się z dawnego formularza Taizé i z rzymskiej liturgii godzin. Bracia mają nowe wydanie modlitewnika, które te dodatki już uwzględnia. Na końcu odśpiewane jest wspólne Notre Pere czyli Ojciec Nasz. I zaczyna się przemieszczanie. Katolicy oddzielają się i schodzą do krypty pod kościołem. Pojawia się brat Klaus w ornacie i sprawuje liturgię eucharystyczną wg mszału rzymskiego (ale bez liturgii słowa, którą stanowiło oficjum na górze). Są jednak drobne różnice. Podczas konsekracji, przy słowach „...błogosławił, łamał...” hostia została przełamana. Pominęto Ojciec Nasz, które było odśpiewane na górze. A przed komunią odmawiane są głośno modlitwy „Panie Jezu Chryste...” i „Przyjęcie Ciała Twego...” jak w dawnym rzymskim mszale. I komunie święta jest pod dwiema postaciami. Na wszystko bracia uzyskali zgodę kard. Marty, arcybiskupa Paryża.

Po zakończeniu modlitw wychodzę przed kościół, wchodzę tam ponownie i ponownie wychodzę, wypatrując znajomych twarzy. Część ciągnie na śniadanie, a my ciągle nie mamy bloczków żywnościowych. Zaś tent d'accueil będzie działać dopiero od 17. A co do tej pory? Ktoś się zainteresował nami i mówi: nie trzeba bloczków na śniadanie. Dostajemy jakieś croisanty, kubek czekolady, możemy ew. dobrać chleba.

A co będzie z obiadem? Ktoś mówi: trzeba się było wczoraj po południu zarejestrować z tymi, co pobyt przedłużali na kolejny tydzień. No dobrze, tylko jeśli można było tak, to czemu tego nikt nam wczoraj nie powiedział?!

Do godz 17 nie mamy przydziału, możemy robić co chcemy. Rozpadało się. Wracam do pulaja i usiłuję się rozpatrzeć. Bo baraczki-pulaje są trzy. Czy możemy się przenieść do drugiego, lub trzeciego? Okazuje się, że już inni Polacy podobnie myślą. Podobno można tu, można tam. Więc po wizji lokalnej decydujemy się przenieść do pulaja trzeciego, są tam wolne miejsca na górze i to sąsiednie. Biorę plecak swój i plecak Hanki i przy pomocy jakichś sznurków i linek, w sposób dość wymyślny i skomplikowany zawieszam je w nogach naszych łóżek. Po co mają leżeć na dole, pod czyimiś nogami i po co mamy je kopać nocą, lub niechcący strącić na dół. Kiedy zadowolony z siebie wyszedłem przed pulaj pojawiła się Magda. „Niepotrzebnie przenosiliście się, bo ma być reorganizacja spania na nowy tydzień. Likwiduje się koedukację, będzie osobny pulaj męski, osobny żeński.

To teraz się o tym dowiaduję? Zaczyna mnie to irytować. Najbardziej zaś, że przekwaterowania może dokonać bez naszej wiedzy, pod naszą nieobecność, ekipa porządkowa wg własnego uznania. Hanka mnie uspokaja: przecież po plecaku nie mogą mieć pewności, do jakiej płci przynależy, na pewno przekwaterowanie nastąpi wieczorem.

Wyciągam notes i notuję, co się działo i swoje spostrzeżenia. Wygląda słońce, więc idę na spacer, ku wiosce. Odkrywam stary kościół romański. Na nim napis, że nie wolno go zwiedzać, wolno tylko się w nim modlić. Wewnątrz ciemno, że długo nie widać nic. Dopiero gdy wzrok się przyzwyczai, widać, że jest tu kilka osób, jedni klęczą, inni leżą. Zostają i ja

chwilę na modlitwie. Uliczka schodzi na dół, zakręca i wraca na górę, tworząc pętlę. Widzę szyld Exhibition jest to niewielki sklepik, są tu różne krzyże metalowe do noszenia na szyi, kamienie oprawne w krzyże, płyty na nagraniem liturgii tutejszej, różnojęzyczne biuletyny Taizé, książki autorstwa braci, m.in. brata Rogera, brata Maxa, brata Pierre-Etienne, brata Daniela... Mógłbym kupić najwyżej krzyżyk, bo nie mam pieniędzy. A nawet gdybym miał, to ceny po przeliczeniu na złotówki są dla mnie horrendalne. Przypominam sobie, że wczoraj brat Clement jednemu z odjeżdżających sprezentował na pożegnanie *Święto* brata Rogera. A może i mnie coś ofiaruje?

Znowu znajduję Hanę, która zapoznaje mnie z Elizabet – jedna dziewcząt, które gdy zbliża się oficjum, stoją przed kościołem z wielkimi tablicami SILENCE. Na kilka metrów przed kościołem mają wszelkie rozmowy gasnąć.

Oficjum południowe jest bardzo krótkie: psalm, werset, modlitwa, błogosławieństwo. Wychodząc z kościoła trafiam na brata Rudolfa. Wita mnie bardzo serdecznie, przypomina mnie sobie z Chłudowa. I jeszcze wymieniam kilka zdań z bratem Klaussem.

Zmierzamy w kierunku kolejki posiłkowej, gdy podchodzi do nas Marie-Claude z Elizabet:

- Pewnie nie macie bloczków na obiad? Weźcie nasze.

- A wy?

- Nie zginiemy, nas o bloczki nie pytają.

Na obiad pure ziemniaczane z plastrem mielonki, do tego czekoladka, ser i owoce.

Zastanawiamy się, jak spędzić popołudnie. Ktoś się pyta nas: A nie chcecie lepić „caillou”? Chcemy.

O właśnie Pierre idzie do brata gumienego po glinę. Pierre, weź ich do lepienia. Idę za Pierrem po glinę, potem wchodzimy gdzieś w zabudowania klasztorne. Okazuje się, że należy wziąć kawałek gliny, utoczyć w kulkę, następnie kciukiem odcisnąć dołek, a potem prętem zrobić otwór na rzemyk. Ledwie zaczęliśmy, wchodzi liczna grupa Niemców, którzy podobno zamówili sobie udział w lepieniu. Patrzą na mnie i Hanę jak na intruzów. Gadają między sobą, dowcipkują. Hanka próbuje coś do nich zagadać po niemiecku. Nic. Tylko jedna osoba zwróciła jej uwagę, że popełniła błąd gramatyczny.

No cóż, nie - to nie,

13. Wreszcie się zaczyna

Wreszcie godzina 17. Zaczynają się zapisy. Jest tu kilka namiotów recepcyjnych, zależnie od języka. Polaków tu na żadnym wykazie nie ma. Ale Magda powiedziała, że ona stanowi dla nas osobny punkt przyjęcia i nas wszystkich z Polski zapisze hurtem, ale gdzie jej szukać?

Leje deszcz. Przelotny, ale nie ma gdzie się schować, mokniemy. Widzimy wreszcie Magdę. Przełazimy przez pierwszy namiot na “dziedziniec namiotów recepcyjnych”, tu Magda nam wręcza bloczki na obiady i kolacje plan sytuacyjny i kartkę, z którą trzeba się zgłosić w „drugim rzędzie namiotów przyjmujących, gdzie dostaje się przydział do grupy zajęciowej.

Plan sytuacyjny obejmuje teren pomiędzy szosą-ulicą a zabudowaniami klasztorными. Na dole kartki (czyli południu) są po lewej Maison carree z czytelnią, po prawej Maison jaune gdzie są trzy sale spotkań, gdzie mieści się depozyt kosztowności, gdzie można kupić bilety kolejowe z Taizé, gdzie leżą listy przychodzące do ludzi będących w Taizé.

W następnym rzędzie są dzwony po lewej, wydawanie posiłków w centrum, i plac zabaw dla dzieci po prawej. Jeszcze powyżej jest bufet, gdzie można kupić coś do jedzenia, po cenie surowca (czyli tanio, ale dla Polaków i tak drogo). Dalej jest pole kilkudziesięciu namiotów z demobilu dla tych, co nie mają własnego namiotu. Na górnym skraju po lewej namioty recepcyjne (d’acueil). Dalej sanitariaty i wolny plac, przed kościołem (z prawej), większa część placu stanowi strefę ciszy. Dalej znowu sklepik i punkt pomocy medycznej. I murek od szos do klasztoru. Za nim El Abiod i teren dla tych, co odbywają rekolekcje w milczeniu. Dalej tzw. Kamping ciszy, przy którym stoją baraczk-pulaje. I znowu sanitariaty, murek, za nim łąka stanowiąca Camping de la croix – tam się rozbijają posiadacze własnych namiotów.

Poza planem znajduje tzw. krater, miejsce na ognisko, śpiewy i zabawy – dość oddalone, by nie zakłócać stref ciszy. Jest jeszcze parking po przeciwnej stronie szosy niż kościół.

Na odwrocie jest informacja, że są cztery grupy tematyczne (o ile nie wybiera się rekolekcji w milczeniu):

1. Życ pod prąd: jakiego życia szukamy dla siebie, jak się nie dać „konsumpcyjnemu społeczeństwu”, jak stać się znakiem sprzeciwu, zgodnie z Ewangelią

2. Kontemplacja i oddawanie życia: co sprawia w nas chęć poświęcenia i oddania swego życia, jak kontemplacja zmienia nasz sposób widzenia człowieka i świata, jak nasza walka i obowiązki zakorzenione są w kontemplacji

3. Walka u boku uciskanych: gdzie koło nas są ludzie uciskani, czy sami nie jesteśmy uciskiwaczami, jak analizować sytuacje, jak połączyć walkę z kontemplacją

4. Stawać się człowiekiem komunii: jak w życiu pełnym napięć i konfliktów, twórczo poszukiwać komunii między różnymi pokoleniami, kulturami, grupami społecznymi, opcjami? Jakie to pociąga dla nas za sobą koszty?

Pierwszy temat to dla Polaków z PRL zupełna abstrakcja, temat trzeci jest zdominowany przez Afrykanów i problemy kolonialno-postkolonialne. Też nie dla nas. Ostatecznie wybieramy temat czwarty.

Jedno mnie tylko martwi: trzeba się zgłosić do określonej grupy dwu-językowej. Jest ich wiele, ale nie ma angielsko-francuskiej. Są angielsko-holenderskie, angielsko-niemieckie, jakieś angielsko-skandynawskie, francusko-niemieckie, francusko-włoskie, francusko-hiszpańskie itd. Hanka ma dobrze, zgłasza się do francusko-niemieckiej, mnie pozostaje któraś z angielskich – ostatecznie wybieram angielsko-niemiecką.

Spotkania zaczynają się 21:15, punktem zbornym mojej grupy są połączone namioty 26 i 27.

Mamy oficjalne skierowanie na zakwaterowanie w pulaju i okazuje się, że faktycznie zlikwidowali koedukację, ale to Hanka ma się przenieść, nie ja. Akurat przyjechał Staszek z Krakowa, to będę miał przyjaciela na miejsce siostry.

Udajemy się na wieczorne oficjum (19:30) i potem na kolację.

O 21:15 leje deszcz, błoto paskudne. Więc u wejścia do namiotu 26 wszyscy wchodzący zdejmują buty. Jakoś każdy chce zająć miejsce jak najbliżej wejścia. Robi się tam tłok, więc przepycham się w głąb namiotu, gdzie pustawo. Okazało się, że znalazłem, się tuż obok animatorów. Wspaniale! Animatorami naszej grupy są Cedryk z Bombaju i Judith z Bazylei. Uczestnicy są z Anglii, Irlandii, USA, Belgii, Szwajcarii, Austrii, Niemiec i Holandii (nieliczni, bo są osobne grupy anglo-holenderskie). I ja, jedyny rodzynek z Polski. Wszyscy się przedstawiamy. Kto jest skąd, jakie ma religijno-kościelne doświadczenia, jaki ma zawód i gdzie pracuje. Moja praca – modelowanie analogowe zjawisk hydrogeologicznych dla podziemnego wytopu siarki przekracza możliwości tłumacza. Trzy razy powtarzam, co robię, w końcu Cedryk i Judith jakoś to na niemieckim sformułowali. Gdy skończyło się przedstawianie, każą nam napisać imiona na karteczkach, wrzucić do kapelusza i losować. Wylosowałem jakąś Inge, którą za jakiś czas mam odnaleźć. Mnie też ktoś będzie szukał.

Na razie organizuje się wspólna zabawa. Śpiewy wspólne, jakieś germańskie odpowiedniki „stary niedźwiedź mocno śpi”. Furorę robi niemiecka piosenka o kowboju, w której gestami pokazuje się, co kowboj kolejno robi.

Tego, co o sobie mówię, nie dają rady przełożyć na niemiecki, muszę dwa razy powtarzać. I tak potem zawsze Cedryk, przedstawiając mnie, będzie mówił: a tym co robi, to powie sam, bo to za skomplikowane dla mnie. Zaczepia mnie jakiś fizyk-teoretyk z Niemiec i wypytuje o krakowskich fizyków, ale nie mogę z nim długo rozmawiać, bo pora znaleźć Inge. Nie mam pojęcia, kto to może być, zagaduję różne osoby, w końcu okazuje się być nią dziewczyna w ciemnym polo. Ale Inga odnalazła swoją osobę, tamta następnych i już jest 9 osób w łańcuszku, więc gdyby mnie tam dołączyć, grupa byłaby za liczna.

Mnie odnalazł z kolei jakiś Niemiec, ale nie mówi po angielsku, a ja po niemiecku. Obawiam się problemów z tłumaczeniem w grupie, więc wyłamuję się z tej metody. Wołam głośno „English only” Jest odzew, ktoś do mnie ręką macha i woła: yes, yes, English. I tak trafiam do grupy z roboczym językiem angielskim. Jest tu Paul z Bristolu, jest Rene - Belg (z Nieuwport) oraz jego dziewczyna Martine (z Ostendy). Jest Wolfgang z Berna (?), Hana - studentka teologii, jeszcze jeden facet, jeszcze dwie dziewczyny i ja. Mamy na najbliższy tydzień stworzyć wspólnotę. Razem żyć i razem dyskutować. Jesteśmy siódmą grupą 26 namiotu.

14. Wtorek 24 lipca 1973

Program dnia:

7:30 Oficjum poranne i Eucharystia,

ca 8:15 śniadanie

9:00 spotkanie ogólne i dyskusje w grupach

12:00 Oficjum południowe

ca 12:30 lancz

15:00 ogólne spotkanie i sprawozdania z grup

17:30 herbata

19:30 - Oficjum wieczorne

ca 20:15 - kolacja

21:00 dyskusje wg tematów (załącznik)

Wstaję o 7, lecz woda w kranach skończyła się szybciej, nim skończyłem się myć.

Po porannym oficjum-liturgii słowa nie zszedłem dziś do krypty. Po lewej stronie kościoła jest ołtarzyk z ikoną Matki Boskiej, na nim tabernakulum z katolicką eucharystią. Jest ona udzielana tym katolikom, którzy zechcą pozostać na górze. Ciekaw jestem taizowskiej (protestanckiej?) liturgii eucharystycznej. Okazuje się jednak, że praktycznie różnic nie widać. Być może gdyby wziąć teksty i porównywać słowo po słowie, coś by się wyłapało. Ale nie znam mszału francuskiego na tyle dobrze, by móc coś na słuch wyłowić. Może zresztą różnic nie być w ogóle.

Później przy śniadaniu rozmawiam z Markiem (Anglik) i Elizabeth. Ale i oni na tematy mnie interesujące wiedzą nie więcej ode mnie.

Już podczas śniadania pada deszcz. Chodzę z parasolem, ale nie jest to wygodne. Wciąż pada deszcz, gdy się zbieramy w namiocie. Mówi Cedryk, o czym mamy dziś dyskutować. Może na początek powiemy, dlaczego ten temat wybraliśmy (być człowiekiem wspólnoty)? Co naszym zdaniem stanowi problem życia we wspólnocie? Jakie są nasze własne doświadczenia w tej mierze?

Wychodzimy naszą grupką na deszcz, chronimy się pod daszek jadalni. Sądziłem, że sprawozdawcą naszej grupki zostanie Paul - ma tendencje kierownicze, animuje jakby naszą grupkę, jednak nie chce tej funkcji przyjąć, pewnie będzie nim Wolfgang.

Czemu każdy z nas wybrał ten właśnie temat? Wypowiedzi się sprowadzają do stwierdzenia: wybrałem, bo taką czułem potrzebę. Wobec tego, gdy na mnie przyszła kolej, dodałem powołując się na Ef 1,10, że zgodnie z Bożym planem cała ludzkość ma stanowić jedność, z Chrystusem jako Głową, że zbawienie, to między innymi odzyskiwanie utraconej jedności, wspólnota-komunia, to znak widzialny jedności, więc być człowiekiem komunii to powołanie każdego chrześcijanina.

Jeśli idzie o problemy, to skupiono się na konfliktach wynikających z przynależności do szeregu wspólnot, jak rodzina, przyjaciele, praca, kościół, grono sąsiedzkie. Ja stwierdzam tu, że być człowiekiem wspólnoty, to przede wszystkim znaczy osiągnąć pewien stan wewnętrzny.

Mam straszne kłopoty z rozumieniem angielskiego mówionego przez rodowitych Anglików, zupełnie mi brak osłuchania z codzienną angielszczyzną, mój zasób słownictwa

nie obejmuje wielu dziedzin, także przy wypowiedziach na tematy religijne muszę co chwila ratować się słowniczkiem.

Jemy razem obiad, przy okazji znowu każdy coś o sobie mówi. Paul okazuje się być pastorem anglikańskim, co do reszty nie całkiem się połąpałem.

Po południu już tak nie pada, więc przed namiotem odbywa się ogólna dyskusja, sprawozdawcy składają sprawozdania –ale z tego niewiele łapię. Następują wspólne zabawy. Śpiewamy jeszcze raz: *Ich kennen einen kowboy, der kowboy der heist Bill...*, śpiewamy: *Infanterie, calvallery...*. Każda grupka ma na jutro coś wspólnie przygotować.

Idziemy na wieczorne oficjum i kolację.

Po kolacji grupy się rozpraszają, w różnych namiotach są dyskusje na różne szczegółowe tematy. Jest w sumie 17 grup dyskusyjnych, np.:

Komórki (taizowskie)

Tworzenie wspólnoty poprzez podróże i odwiedziny

Oddawanie życia poprzez działalność polityczną i w związkach zawodowych

Życie pomiędzy ludźmi obecnością Chrystusa

Jak przygotowywać Sobór Młodych w Afryce

Walka i kontemplacja w Indiach

Jaki sobie wyobrażam styl życia osób szczególnie zaangażowanych w przygotowanie Soboru Młodych

Medytacje nad tekstami podstawowymi przygotowań Soboru Młodych

Razem z Hanką idę na dyskusję: wymiana pomiędzy różnymi kulturami. Jednak spotkało nas rozczarowanie: dyskusję zdominowali Niemcy i Amerykanie i problem relacji kulturalnych RFN-USA. Nas to niezbyt interesuje, ale nasze próby zwrócenia uwagi, że są jeszcze inne kultury, z którymi wymianę można by rozpatrywać, nie znalazły odzewu. Jesteśmy jedyni z demoluda i widać, że nasze sprawy nikogo z obecnych nie obchodzą.

15. Środa 25 lipca 1973

Program dnia podobny jak wczoraj, ale o 15 ma być jakiś workshop.

Na oficjum, podczas czytań, powtarzanych w różnych językach, Magda czyta po polsku. Pojawiają się też wśród intencji modlitewnych wątki polskie. Chyba drugi raz już słyszymy wezwanie do modlitwy za Anieł Urbanowicz, za kardynała Wojtyłę. Anieła Urbanowicz to pierwsza Polka, która odwiedziła Taizé, związana z ks. Zieją kierowniczką domu matki i dziecka w Słupsku, współzałożycielką warszawskiego KIK.

Już nie wychodzę z kościoła ot tak, by pójść sobie swoją drogą. Zaraz za wyjściem czekają znajomi. Oprócz braci z Taizé – Clementa, Rudolfa, Klausa, są też znajomi – Brigitte, Jacques, Marie-Calude, Elizabet, no i parunastu Polaków i 8 osób z mojej grupy, nasi animatorzy... Następuje chwila rozmów, znajomi przedstawiają swoich znajomych. Cedryk przedstawia mnie komuś raz po raz, jako interesującą postać z Polski, za każdym razem dodając, jak już wspominałem: „ale na czym polega jego praca, to on sam musi ci powiedzieć, dla mnie to za skomplikowane.” Stopniowo odszukujemy się naszą dziewiątką i razem idziemy zjeść śniadanie. Francuskie petit dejeuner jest bardzo skromniutkie: parę rogalików, kawa lub czekolada, w 1962 roku, będą pierwszy raz we Francji, na wyżywieniu stołówkowym, cierpiałem bardzo i trudno było mi doczekać obfitszego „dejeuner” w porze obiadowej. Teraz jednak straciłem wiele ze swej żarłoczności i głód mi specjalnie nie dokucza.

Paul jednak, mimo że nie został sprawozdawcą, jest de facto liderem naszej grupy, w gruncie rzeczy on kieruje dyskusją, zadaje dodatkowe pytania osobom wypowiadającym, z naszych wypowiedzi wychwytuje istotniejsze elementy. Z tego co mówi, wynika, że pracuje z młodzieżą, organizuje wakacje grupom młodzieżowym (zapewne z taką grupą kościelnej młodzieży anglikańskiej przybył do Taizé). Jest także w jakimś gremium zajmującym się rozdziałem państwowych pieniędzy pomiędzy organizacje młodzieżowe, działa przy

organizacji folk festiwali, angażuje się też w pracę ze wspólnotami. Są to wspólnoty dwóch rodzajów, ale nie zapamiętałem dokładnie na czym ich specyfika polega.

Zagaduję go, jaką ma opinię na temat katolików. Po niewielkim namyśle, stwierdza, że jego osobiście uderza to, że katolicy źle się czują we własnym Kościele, jakby nie umieli w nim znaleźć miejsca dla siebie. Jakby ich przynależność kościelna była dla nich źródłem udęki. U protestantów nie dochodzi do tego. Ale trzeba też zdawać sobie sprawę, że w angielskim Kościele Katolickim dominuje irlandzki kler, różne historyczne zaszłości angielsko-irlandzkie mogą więc rzutować na sytuację. Zupełnie inaczej może być np. u katolików holenderskich.

Najlepiej rozmawia mi się z parą belgijską. Rene studiuje okrętownictwo. Niedługo skończy studia. Dużo wie na temat polskich stoczni, rozważa nawet przyjazd na jakąś praktykę do Gdańska. Jego narzeczona, Martine, jest na jakichś studiach o charakterze przyrodniczo-geograficznym. Chyba jeszcze nie wybrała węższej specjalności. Oboje, jako nie-Anglicy mówią prostym językiem i znakomicie z nimi się dogaduję. Sam też opowiadam o swoich doświadczeniach, o naszej wspólnocie, o szykanach ze strony naszej bezpieki i ograniczonych przez to możliwościach działania, o sytuacji materialnej Polaków.

Workshopu o 15 nie zapamiętałem, zdaje się dotyczył jedynie sprawozdawców z grup. My w tym czasie organizowaliśmy zabawy, m. in. W sałatkę owocową. Każdy z uczestników obiera sobie nazwę jakiegoś owocu. Potrzebne są miejsca siedzące, o jedno mniej niż uczestników. Ustawiliśmy krzesła kołem, wylosowana osoba stanęła w środku i zaczęła mówić, jakich owoców potrzebuje. Wymienione owoce zamieniały się miejscami, a osoba wywołująca usiłowała korzystając z wymiany zająć czyjeś miejsce. Osoba, dla której zabrakło miejsca sama z kolei wywoływała owoce. Można było też zawołać „sałatka owocowa”. Wtedy każdy musiał zmienić miejsce. Jak już zapowiadano, trzeba będzie przygotować wspólnie jakiś skecz, pantomimę, czy scenkę, więc prosi się o wymyślanie i zgłaszanie propozycji. Nie zgłosiłem niczego, bo nie czułem się na siłach. Zabawę przerywały nam deszczyki, które od czasu do czasu przelatywały.

Wieczorem byłem na dyskusji o wspólnotach, ale nic ciekawego nie zapisało się mi w pamięci.

16. Czwartek 26 lipca 1973

Program dnia jak wyżej. Cedryk nam zadał omówienie tematu dzielenia się. Co utrudnia nam dzielenie się? Ktoś zaproponował pójść na kawę do kafejki całą grupą. Zasiadliśmy pod dachem bezpieczni od deszczu i zaczęli dyskusję. Paul zapytał, czy ktoś z nas ma problemy z dzieleniem się. Nikt się nie odezwał. Czy to oznacza, że każdy uważa, że z dzieleniem trudności nie ma? Stopniowo rozszedł się pomruk aprobaty. Co myślicie na ten temat? Okazało się, że właściwie temat się przejadł, że nikt nie ma ochoty dyskutować wg sztywnych schematów idących z góry od organizatorów, że właściwie poza tym, że się poznaliśmy, że mówiliśmy o swoich doświadczeniach wspólnotowych i porównaliśmy swoje sytuacje i problemy, to dyskusja nic nam nie dała i chyba nic ciekawego do przygotowań Soboru Młodych nie wniosła. Więc lepiej pogadajmy sobie swobodnie, bez narzucania tematu.

Pogadaliśmy, trochę pośpiewaliśmy.

- Szkoda, że nie zabrałem gitary – powiedziałem.

- Grasz na gitarze? – zainteresował się Paul.

- Tyle co akompaniując przy śpiewie. Wspomniałem o swoich występach w Folk Studio Macedońskiego.

- Zobaczmy, może coś z gitarą da się zrobić.

Na spotkaniu ogólnym nasz sprawozdawca powiedział, że temat zadany nas nie dotyczy i podał parę zdań wziętych z późniejszej rozmowy.

Co tu zaproponować do przedstawienia? Okazało się, że ktoś z Niemców zaproponował pantomimę pomarańcza. Kilkanaście osób staje w zbitym kręgu, pochylając głowy – to jest pomarańcza. Przychodzi nabywca i chce pomarańczę podzielić, ale się mu nie udaje.

Wreszcie przyprowadza osoby, które rozmieszcza dookoła. W momencie, gdy każda cząstka „pomarańczy” przydzielana jest komuś, nie ma problemów. Tworzą się pary. Na koniec wszyscy się chwytamy za ręce i tańczymy kółeczkiem, śpiewając „Sing hosanna to the King of kings”.

17. Piątek 27 lipca 1973

Dziś były urodziny mojej siostry, a wczoraj jej imieniny. Dowiedziałem się, że jej grupa złożyła życzenia, oraz zakupili jej krzyż taizowski do noszenia na szyi na rzemyczku. Mam wrażenie, że Hanka w swej dwujęzycznej grupie lepiej sobie radzi ode mnie. A zresztą może nie, może to ja mam zbyt mało pewności siebie?

Program dnia bez większych różnic.

Przedstawiamy dziś naszą pantomimę. Byłem zaskoczony, że się podobała, bo, przyznam się, sam w niej niewiele sensu widziałem. Co inni pokazywali nie zapamiętałem, w każdym razie nie było to także nic szczególnego. Właściwie największą wartością tych pantomim było wspólne ich przygotowywanie.

Później znowu były rozmowy w grupach. Paul przyniósł skądś gitarę. Była bardzo twarda, pudło miało marny rezonans, w ogóle była jeszcze bardziej marna, niż moja gitara zostawiona w Polsce. Więc śpiewamy i próbuję jakoś akompaniować do śpiewu. Pytam się, czy nie mają nut? Paul wyciąga skądś śpiewniczek. Melodie piosenek są proste, wystarczy raz sobie przebrzdąkać i już mogę je śpiewać, dobór akordów sam się narzuca. Łatwość, z jaką włączam się ze śpiewem i akompaniamentem budzi zdziwienie. Ja z kolei dziwię się ich zdziwieniu. Skoro melodia jest zapisana w nutach i skoro umiem czytać nuty, to w czym miałyby być problem?

Zaśpiewałem im parę polskich piosenek, wysłuchali ich zdaje się bardziej z uprzejmości, niż z zainteresowania. W każdym razie nie miałem więcej ochoty na tej gitarze grać i Paul ją odniósł, jak zobaczyłem, na Camping za krzyżem do jakiegoś mikrobusu.

W zasadzie już na dziś nie było żadnych tematów do omówienia i zdania relacji. Przez popołudnie rozmawialiśmy swobodnie.

Przed oficjum zrobiłem spacer za wioskę, dalej drogą na południe. Myślę, że dokuczała mi bezdrzewność okolicy. Zdawało mi się, że widzę tam jakiś mały lasek i chciałem do niego dojść. Doszedłem. Rzeczywiście lasek, ale tak zachwaszczony, że mowy nie ma, by po nim pospacerować. Idąc skrajem, zobaczyłem drogę wchodzącą w las. I trafiłem na wysypisko śmieci z Taizé. Nawet na moich oczach podjechała śmieciarka i dosypała kolejną porcję. Na śmietniku sporo ptactwa. Większość dziobie chleb, którego spore ilości tam leżały. Uświadomiłem sobie, że jest to jedna z rzeczy, które w Taizé od początku działają mi na nerwy. Chleb wydawany do posiłków traktowany jest dość bezceremonialnie. Wielu go bierze zbyt wiele i odnosi potem z brudnymi naczyniami, a wielu po prostu śmieci nim dookoła. Ten marnowany chleb leżący pod nogami, bezmyślnie deptany, to zaprzeczenie tego, w czym byłem wychowywany, jakby bezczeszczenie moich tradycji.

Zresztą to nie jedyna rzecz. Kiedyś, podczas deszczu, gdy zaczęliśmy tańczyć w namiocie, kilka osób w ferworze tańca, zabłoconymi stopami zaczęło deptać rozłożone koce. Też mnie to dźgnęło: przecież to czyjeś posłanie. Jak można brudnymi nogami deptać cudze posłanie!? Jeśli potrzeba miejsca, można przecież koc przesunąć, złożyć. Ale nikt poza mną problemu nie widział: To przecież koc z demobilu. Brudny? To go odnieś i weźmie sobie inny. Domyśliłem się z tego, że w Taizé mają zapas koców z demobilu, które wypożyczają nocującym w namiotach. No dobrze, ale jeśli to koc „taizowski”, czyli jak niczyj, to znaczy że można go niszczyć? Powstrzymałem się od uwag, bo nie chcę wyjść na starego drętwa.

Po wieczornym oficjum było w kościele tzw. spotkanie z bratem Rogerem. Tzn. brat Roger chwilę mówił, odpowiadał na wybrane pytania, wszystko z symultanicznym przekładem – tzn. było sporo słuchawek, ale nie dość dla wszystkich. Nie wziąłem i starałem się słuchać francuszczyzny i coś z tego wyłapywać.

18. Sobota 28 lipca 1973

Dziś nieco inny program dnia

7:30 Oficjum poranne i Eucharystia,

ca 8:15 śniadanie

9:00 zakończenie dyskusji w grupach.

12:00 Oficjum południowe

ca 12:30 lancz

15:00 spotkania regionalne.

17:30 herbata

19:00 - kolacja

20:30 - Oficjum wieczorne

Po nim święto.

W ramach zakończenia wszyscy wypowiadali się o swoich wrażeniach, o tym co tu ich zachwyciło, ale mieli też powiedzieć, co tu im przeszkadzało, nie odpowiadało. Skorzystałem z okazji i gdy na mnie przyszła kolej, powiedziałem, że nie mogę patrzeć na ten chleb poniewierający się, deptany. Że jest to nie tylko brak szacunku dla chleba jako takiego, ale także dla ludzkiej pracy tych, którym ten chleb zawdzięczamy. I że w ogóle pokarm należy szanować przez szacunek dla ludzi, którym pracy go zawdzięczamy, a także dla ludzi, którzy w innych krajach umierają z głodu. Z przejścia mówiłem dość kiepską angielszczyznę, robiąc błędy gramatyczne, ale chyba mnie zrozumiano. Większość popatrzyła na mnie, jakbym się z księżycą urwał i po czym po chwili grzecznego odmilczenia, przeszli do dalszego ciągu. Jeden Cedryk potem podszedł do mnie i powiedział, że to co powiedziałem jest bardzo słuszne, że on się z tym całkowicie zgadza, ale młodzi są młodzi i nie wszystko do nich dociera.

Poza tym zakończenie dyskusji w grupach, to praktycznie były pożegnania. Wymieniamy się adresami, przy okazji po raz pierwszy rozmawiam dłużej z Judith, naszą drugą animatorką obok Cedryka. Jest z Kościoła Kongregacjonalistów i studiuje teologię. Cedryk jest natomiast katolikiem, chyba jakimś zakonikiem, i jest Gudżaratem (rodak Gandhiego). Jakoś wywiązała się rozmowa na tematy ekumeniczne i Judith wyraziła żal, że katolicy nie chcą wspólnoty sakramentalnej z protestantami. Ja na to: „jaka może być wspólnota z kimś, kto sakramentów nie uznaje?” Zresztą jeśli o chrzest idzie, to katolicy chrzest protestancki uznają za ważny. Co do reszty, to inne jest rozumienie sakramentów u protestantów. Judith na to, że jej chodzi o problem interkomunii.

Więc mówię, że katolickie traktowanie Eucharystii jest inne niż protestanckie. Ona, że nie widzi żadnych różnic w nauce Kościoła Katolickiego o Eucharystii i w naukach Kościołów protestanckich, w związku z czym nie może zrozumieć, skąd te problemy z interkomunią. Jej zdaniem nie powinno być żadnych.

Przyznam się, że tym mnie nieco wyprowadziła z równowagi. Jak to, czy jej zdaniem protestanci uznają dogmat o transsubstancjacji? Poprosiła o wyjaśnienia. Zacząłem mówić, ale im dalej, tym bardziej mi brakowało odpowiedniego słownictwa, a mój podręczny słowniczek też go nie zawierał. Więc jakoś z dyskusji się wywinąłem, dość zniesmaczony. Bo żeby kto, ale studentka teologii nie orientowała się w nauce własnego Kościoła na temat Eucharystii i żebym to ja miał jej tłumaczyć – jaki musi być poziom tych teologicznych studiów, albo też jaka postawa studentów.

Rene i Martine zaprosili mnie na święto do namiotu belgijskiego na święto belgijskie.

Zdaje się, że nie poszliśmy na popołudniowe spotkania regionalne, bo i z kim tu się spotykać, z Niemcami, Skandynawami? Zdaje się zrobiliśmy sobie polskie spotkanie, ale nic o nim nie zapisałem, nie mam pewności, czy się ostatecznie odbyło. Chyba jednak wtedy opowiedziałem o swym wystąpieniu w sprawie chleba i że tylko Hindus mnie zrozumiał.

- No tak, Hindus to trzeci świat, a my czwarty świat. Bliżej nam do niego, niż do tego sytego zachodu. Widać mają nadprodukcję, więc dla nich nie jest problemem by przedmiot był w użyciu jak najdłużej, ale przeciwnie, jak najkrócej, by wymienić go na nowy, by był

ruch w interesie. Ale czy można tak bez końca? Czy nie zabraknie surowców? Czy nie utoniemy w śmieciach?

19. Święto

Sobotnie oficjum wieczorne rozpoczyna się po zmroku.

Zapomniałem napisać, że już rano kościół uległ powiększeniu. Jeden segment zachodniego frontonu poszedł w górę i dołączono do kościoła potężny namiot. Widać napływ nowo przybyłych jest tak wielki, że kościół już by wszystkich nie pomieścił.

W wejściach kościoła stoją dyżurni z naręczami cieniusieńkich świec. Każdy wchodzący dostaje jedną. Porządek oficjum jest taki sam, jak w tygodniu, ale końcowe błogosławieństwo jest uroczystsze (poprzedzone fragmentem psalmu 118, 25-27ab. Potem odczytano Ewangelię z niedzieli i nastąpiła cisza. W kościele zgaszono wszelkie światła. I po chwili, w ciemnościach, w ciszy kościoła rozbrzmiały hiszpańskie głosy: „Resucito, resucito, resucito, Alleluja”. Po pierwszych sylabach śpiewu włączyły się instrumenty zapewne m.in. jakieś gitary, tamburina, kastaniety. „Alleluja, alleluja, alleluja, resucito!” Przy pierwszych słowach pojawił się blask między śpiewającymi, ukazała się świeca. Ktoś odpalił od niej światło i podał sąsiadowi. Fragment wielkosobotniej liturgii światła. Ale sprawowany starannie. Nie tak jak w naszych kościołach, gdzie odbywa się to w trymiga, gdzie po drugim „światło Chrystusa” zapalają duchowni, a po trzecim pstryk i kościół zalany jest światłem elektrycznym, a czy wierni świece zapalą, czy nie, to nikogo nie obchodzi. Tu długą chwilę trwała wędrówka światła z przodu kościoła ku tyłowi i obrzeżom, bez żadnych skrótów. Brzmiał śpiew hiszpański, do którego włączyli się obecni. I wędrowało światło, brzmiał śpiew i muzyka, aż ogarnięty został nimi cały kościół, aż poczuliśmy wszyscy, że Zmartwychwstanie Chrystusa napełniło nas radością i możemy zacząć świętowanie.

W namiocie 13 będą folksongi, w Tyńcu na górze, muzyka klasyczna (m.in. flety i gitary) W namiocie 41 pieśni hiszpańskie, w namiocie 20 teatr i pantomima, w 32 folklor holendersko-flamandzki, 17 – namiot włoski, 37 – namiot angielski. Kościół otwarty jest całą noc i kto chce, może czas spędzić na modlitwie w milczeniu. To były imprezy oficjalne, zgłoszone ekipie d'accueil, wydrukowane i rozdane wszystkim. Ale prócz tego mieszkańcy niemal wszystkich namiotów coś organizowali. Zaproszony przez Rene i Martine spędziłem chwilę między Belgami, potem odszukawszy Hanę, krążyliśmy od namiotu do namiotu. Mieliśmy zamiar wybrać się do krateru i zobaczyć, co tam się odbywa, ale ktoś z Polaków powiedział, że nie warto. Narkomani palą sobie tam haszysz i nic ciekawego się nie dzieje.

Nie pamiętam, o której spać poszedłem, ale święto trwało jeszcze w najlepsze.

20. Niedziela 29 lipca 1973

Po nocnym świętowaniu nikt wcześniej się nie zerwie. Więc porządek dnia jest odmienny:

8:30 śniadanie

9:30 - Eucharystia

12:30 - Oficjum południowe

Ok. 13 lancz

18:45 – kolacja

20:00 Komplet

Eucharystia zaczęła się Oficjum-liturgią słowa, ale ku memu zaskoczeniu, bracia katolicycy pozostali z resztą wokół ołtarza. Nie schodzimy do krypty. Następuje wspólna liturgia eucharystyczna, z udziałem katolickich duchownych i protestanckich. Zbaraniałem. A więc w Taizé doszło do interkomunii?

Zaraz po liturgii dopadam brata Klausa i pytam, jak to jest. Brat Klaus zaprzecza: - Tu nie ma żadnej interkomunii. To co ma miejsce, to warunkowe dopuszczenie protestantów do katolickiej Eucharystii.

- Bez spowiedzi?

- Żal doskonały wystarczy do zgładzenia grzechów.

- Ale skąd mamy pewność, co do uczestników?
 - Niech każdy sam doświadcza siebie – cytuję mi św. Pawła.
 - A władza kościelna to aprobuje?
 - Władza kościelna jest powiadomiona i, jak dotąd, nie ma z jej strony sprzeciwu.
- No cóż, wszystko to niesamowite. Muszę to przetrawić.

Co będziemy robili przez przyszły tydzień? Poszliśmy zapytać się brata Clementa i Rudolfa, zdawało się, że mieli wobec nas jakieś plany. Ale na moje i HANKI pytanie odpowiedzieli jakoś wymijająco, dodając, że możemy się zgłosić do *equipe d'accueil*. Poczuliśmy się jakoś rozczarowani, ale zdecydowaliśmy się zgłosić. Koło 17 ma być przyjmowanie chętnych.

Na razie krążymy po obozowisku. Dopada mnie Paul i raz jeszcze się żegna. I raz jeszcze żegnam się z Belgami. Cedryk mi daje swoją księgę, bym wpisał coś po polsku. Jest już tam wpis „Chrzyszcz brzmi w trzcinie...” więc mu dopisuję „a w Trzemesznie straszy jeszcze wytrzeszcz oczu strzyg” i coś tam jeszcze. Śmiejemy się.

Są weekendowe spotkania dyskusyjne. Udaję się na jedno. Jest tam m.in. Rowan z Australii bodajże, oraz Erik i Lynn – angielscy baptyści. Znowu dyskusja na temat komunii, jedności chrześcijan, ekumenizmu. I znowu pada opinia, że nie ma problemu co do jedności, może tylko nieustępliwa postawa katolików, którzy wynajdują różnice doktrynalne. Przypomniał mi się nasz krakowski ekumeniczny dzień skupienia i alergiczne wręcz reakcje krakowskich baptystów na wszystko, co uważali za próbę pomniejszenia dzielących nas różnic. Oj, czekajcie, niedoczekanie wasze, bracia baptyści. Teraz moja kolej zareagować alergicznie.

I zaszarżowałem: Spytałem baptystów, czy chrzest powinien być udzielany dorosłym i przez zanurzenie. Gdy potwierdzili, stwierdziłem, że byłem ochrzczony w niemowlęctwie i przez polanie. Zatem mój chrzest zapewne jest nieważny. A skoro jest nieważny, to wg nich nie jestem chrześcijaninem ale poganinem. Więc jak to jest z tym brakiem przeszkód w jedności, jeśli nie wszyscy uznają ważność chrztu w innym kościele. I to bynajmniej nie katolicy kwestionują taki chrzest. (Prawdę mówiąc to adwentyści uważają katolików za nieochrzczonych, baptyści krakowscy nigdy nie stwierdzili tego *explicite*, taktownie robili unik).

Erik i Lynn nie odważyli się ani stwierdzić, że uznają ważność mego chrztu, ale też nie przyznali się, że tę ważność kwestionują. „To bardziej złożony problem”. Niemniej chyba swój cel osiągnąłem, nie było już obwiniania katolików o brak jedności. Z drugiej strony zastanawiam się, czy ci liczni młodzi, dla których „problemu nie ma” traktują swoją wiarę i swoją przynależność kościelną poważnie.

Chciałem zanotować swoje uwagi i stwierdziłem, że zginął mi gdzieś notes. Miałem ich trzy. W jednym notowałem adresy, w drugim terminy na przyszłość (z kim się umawiam, na kiedy i gdzie), w trzecim prowadziłem dziennik, notując co się działo, co ciekawego powiedziano, co ja mówiłem. I ten notes właśnie mi zginął. Nie mam pojęcia jak, poszukiwania nie dały rezultatu.

Cóż, przyjdzie mi pisać w drugim notesie od drugiej strony. Biorę i na gwałt odtwarzam, co z ostatniego tygodnia jeszcze pamiętam, ale widzę, że wielu ciekawych wypowiedzi już nie odtworzę, że mój opis będzie dość ogólnikowy. Ogarnia mnie zniechęcenie. Może nie należy niczego zapisywać?

Pod czytelnią w *Maison carree* widzę grupkę podtatusiałych panów. Przysiadam się i chwilę rozmawiam. Okazuje się, że bracia z Taizé mają osobny program dla dorosłych czy może dla zbyt dorosłych na działanie w Soborze młodych.

Udaję się na spotkanie organizacyjne *equipe d'accueil*.

21. Organizuje się Equipe d'accueil

Sporo ludzi pojawiło się na pierwszym organizacyjnym spotkaniu. Naprzeciwko grupka „organizatorów”. Mamy zgłaszać się na ochotnika do różnych zajęć. A więc: Trzeba chętnych do dyżurowania w namiotach d'accueil. Zgłaszają się jakieś osoby, ale to nie dla nas, trzeba by biegle znać kilka języków.

Trzeba chętnych do kuchni – praktycznie niepotrzebnie to mówią, bo już kandydaci są upatrzeni i umówieni z góry – grupa dziewcząt hiszpańskich i włoskich, wydaje się, że one to zdominowały, choć może i parę Francuzek przyjęto z nimi.

Trzeba chętnych do informacji, a więc redagowania ogłoszeń, przepisywania, powielania, rozprowadzania... też się do tego raczej nie nadajemy

Trzeba... itd...

Trzeba chętnych do przygotowań liturgii i opieki kościołem. Hanka decyduje się zgłosić. Sprzątanie kościoła, przyozdabianie kwiatami, zbierania śpiewników nieodniesionych na miejsce, przypominanie o strefie ciszy, ustalanie intencji do modlitwy wiernych, czytania w różnych językach...

Ciągle czekam, że będzie coś, co by mnie pociągnęło, ale jakoś nic.

Wreszcie słyszę, że teraz trzeba zgłaszać się do grupy totumfackich, do zrobienia wszystkiego, co akurat trzeba zrobić, po francusku „disponible a tous”.

No cóż, pewnie nic lepszego już się nie trafi – zgłaszam się.

Jest nas całkiem spora grupka, powyżej dwudziestki. Przede wszystkim Gothard ze Szlezewiku, Didier – student matematyki (interesował się Polską i później wypytywał mnie o sytuację, o poziom studiów matematycznych itd), Antoinette z Bretanii, pracująca w szkole (nauczycielka?), Szu z Zurichu, ale o rysach hiszpańskich, Mark 1 - brodaty Francuz pracujący w jakimś biurze, w białej koszuli niczym bankowiec, Mark 2, Chantal – niska ciemnowłosa dziewczyna, Philippe z Bretanii, Peter, Udo - 15-latek z mojej dawnej grupy dyskusyjnej, jakiś Boliwijczyk z bransoletą na rękę, zdaje się sanitariusz, Elizabeth ze Szwajcarii, Gabriela także ze Szwajcarii, na pierwszym roku jakichś studiów, Christoff, Adriano – student z Włoch, Enrico podobnie, Wolfgang z Norymbergi – pracuje społecznie, Jean-Pierre – Francuz, student prawa, Lorand, także francuski student, pucułowaty i opalony,

Ricard - Belg z Liege,

Jeszcze jakiś Włoch, pracujący w fabryce, nosi na rzemyczku gołąbka w kształcie krzyża, czy raczej krzyż w kształcie gołąbka

Jacques – brodaty architekt w okularach (nie ten, co Hanke zaprosił)

Regis – medyk paryski

Pedro z Holandii

Elo (czy Helo?) robotnik z Niemiec

Hedi – okrągłutki informatyk?

Sofi - z krzyżem maltańskim w negatywie

Moriset z krzyżem-gołąbkim

Monique – w charakterystycznym jasnym swetrze.

Mamy załatwić bony na lancze i kolacje, oraz zakwaterować się w „pulajach”. Ponieważ i tak kwateruję w pulaju, nie muszę się przenosić, w praktyce jednak zmieniam miejsce, by grupa nasza spała bliżej siebie.

W pulajach narobiło się sporo bałaganu, trzeba tu zrobić porządku. Tym się mamy zająć jutro, z samego rana.

Niezależnie od działań w ekipie totumfackich, będziemy w grupach dyskusyjnych. Przeglądając listę grup, widzę, że jedna z nich jest czysto anglojęzyczna, więc tam się zgłaszam. Będziemy spotykać się w namiocie 24.

Ale te zgłoszenia odbywały się już po wieczornym oficjum które się nazywało kompleta. Od zwykłego oficjum wieczornego różniło się jedynie tym, że było później i miało dodatkowe elementy dziękczynienia Bogu za miniony tydzień.

Po komplecie Hanka mi mówi, że jest plama. Brat Clement ją zagadnął w sprawie nadchodzącego tygodnia. Powiedziała mu, że zgłosiliśmy się do grupy kościelnej oraz totumfackiej, on jakby się zafrasował, coś bąknął, że rozumiał, że chcemy czegoś specjalnego..., że w związku z tym..., no ale skoro zgłosiliśmy się do d'accueil, to to nieaktualne. Wywnioskowała z tego, że jednak mieli wobec nas jakieś plany, tak jak to wyczuliśmy zaraz po przyjeździe, tylko nie było to do końca dopięte i dlatego nam nie mówili. Że pewnie źle zinterpretowaliśmy jego poranną informację, która nie oznaczała rady, byśmy się zgłaszali do d'accueil, ale że jeśli jego plany nie wypalą, to jeszcze będziemy się tam mogli zgłosić.

Szkoda, że to nie mnie dopadł. Może wypytałbym się, co zamierzał nam zaproponować, może bym to przyjął – w końcu mógłbym się z naszej ekipy wycofać. Ale teraz nie widzę nigdzie brata Clementa. Jutro pewnie będzie już za późno by sprawę odkręcić, o ile faktycznie chcę ją odkręcać. No właśnie, czy chcę? Patrząc wieczór w pulaju na nowych współtowarzyszy, wymieniając wieczorne życzenia dobrej nocy, umawiając się na poranną pobudkę, poczułem się głupio, że mógłbym porzucić ich. Więc nie będę nic odkręcał.

Do dziś nie wiem, co brat Clement zamierzał zaproponować, jeżeli zamierzał, bo w końcu to teraz mogła Hanka go źle zrozumieć

22. Poniedziałek 30 lipca 1973 - Już bliżej wyjazdu

To drugi i ostatni nasz tydzień w Taizé. Bliżej wyjazdu niż przyjazdu. Z czym wrócę stąd? Chyba najwięcej zmieni w moim życiu uczestnictwo w Oficjum. Miałem wiele uprzedzeń do brewiarza czyli liturgii godzin. Opisałem to gdzie indziej. Zaczęło się to przełamywać pod wpływem tynieckich dni skupienia naszej wspólnoty. Teraz przyspieszyło. Może język francuski – obcy i z trudem rozumiany – spowodował, że musiałem zastanawiać się nad sensem każdego wersetu z psalmów, każdego zdania modlitwy? W każdym razie otwarłem się na piękno i bogactwo w pierwszym rzędzie Oficjum, w drugim – brewiarza, pierwowzoru tegoż oficjum.

Pisałem, że oparte było głównie na laudesach, sekście, niesporach, z pewnymi dodatkami wigilii w sobotę wieczór i komplety w niedzielę wieczór. I że poranne laudes były połączone z liturgią słowa po czym następowała liturgia eucharystyczna.

Ale w szczegółach były też ciekawe różnice. Były elementy nieobecne w brewiarzu, które wydały się mi cennym dodatkiem. Więc zacząłem je wypisywać, z zamiarem wprowadzenia do mojej modlitwy, gdy już do Polski wrócę.

A więc doksologia po psalmie. Katolicy mają
*Jak była na początku, teraz i zawsze
i na wieki wieków, Amen.*

W Taizé stosowano oprócz tej dwie inne formuły doksologii:

*Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Świętemu,
Teraz i zawsze,
Bogu, który jest, który był i który przychodzi
Przez wieki wieków. Amen*

Oraz

*Czyńmy chwałę Ojcu Wszchemogącemu,
Jego Synowi, Jezusowi Chrystusowi, Panu naszemu
Duchowi, co w sercach naszych mieszka
Na wieki wieków Amen.*

Drugie różnicowanie dotyczy końcowego błogosławieństwa:

Zamiast: *Niech nas Bóg błogosławi, broni od wszelkiego zła i niech nas doprowadzi do życia wiecznego*

Stosowali na każdy dzień inne, oczywiście każde zaczerpnięte z Biblii:

Poniedziałek rano:

Bóg nadziei niech udzieli nam pełni radości i pokoju w wierze, abyśmy przez moc Ducha Świętego obfitowali w nadzieję.

Poniedziałek wieczorem:

Bóg pokoju Niech nas całkowicie uświęci, aby nasz duch dusza i ciało zachowały się bez zarzutu na nadejście Pana naszego Jezusa Chrystusa

Wtorek rano

Niech Pan nas błogosławi i strzeże, niech rozjaśni nad nami swoje oblicze i udzieli nam łaski, niech odkryje swą twarz i obdarzy nas pokojem

Wtorek wieczorem

Pan Pokoju niech sam nas obdarzy pokojem w każdym czasie i na wszelki sposób

Środa rano

Niech Bóg cierpliwości i pocieszenia da nam żyć wzajemnie ze sobą w zgodzie, według Jezusa Chrystusa, abyśmy jednym sercem i jednymi ustami chwalili Boga i Ojca Pana Naszego Jezusa Chrystusa

Środa wieczorem

Niech sam Pan Jezus Chrystus i Bóg Ojciec, który nas kocha i przez łaskę daje nam wieczną pociechę i szczęśliwą nadzieję, pocieszy nasze serca i je utwierdzi we wszelkim dobrym słowie i czynie

Czwartek rano

Niech Bóg pokoju uzdolni nas do wypełniania jego woli, w każdym rodzaju dobra, stwarzając w nas to co dlań przyjemne, przez Jezusa Chrystusa, któremu chwała na wieki wieków

Czwartek wieczorem

Niech łaska Pana Jezusa Chrystusa, miłość Boga Ojca i komunია w Duchu Świętym będą z nami wszystkimi

Piątek rano

Pokój niech nam będzie dany i miłość wraz z wiarą od Boga Ojca i Pana naszego Jezusa Chrystusa

Piątek wieczorem

Niech Bóg całej łaski, który nas wezwał do swej chwały wiecznej w Chrystusie, gdy trochę pocierpimy, sam nas udoskonali, utwierdzi i umocni, Jego jest moc na wieki wieków

Sobota rano

Pokój Boży przewyższający wszelkie wyobrazenie, niech strzeże naszych serc i myśli w Chrystusie Jezusie

Sobota wieczorem

Niech nas błogosławi Bóg wszechmogący Ojciec i Syn Boży i Duch Święty

Niestety, nie zapisałem niedzieli i już dziś nie pamiętam, jaką formuły stosowano.

Psalmy wprowadzające były rano i wieczór, za każdym razem inne, w cyklu dwutygodniowym. Piątki oraz wieczorne oficjum soboty i niedzieli miały wprowadzenia niepsalmiczne, zaczerpnięte z liturgii prawosławnej. Było więc większe urozmaicenie, ale w oficjum było tylko po jednym psalmie.

Podobnie kantyk Zachariasza i kantyk Maryi były tylko raz w tygodniu, w pozostałe dni były inne pieśni nowotestamentalne. Ale znowu w liturgii godzin w jutrzni jest jeden kantyk starotestamentalny a w nieszpórach nowotestamentalny. W tym przypadku nie można mówić o większym urozmaiceniu Oficjum taizowskiego.

Jak mówiłem oficjum trwało pół godziny. Sprawowane było powoli, ze śpiewami i długimi chwilami ciszy na medytację. Tej ciszy najbardziej brakuje w naszych kościołach, spotkałem się z nią jedynie u benedyktynów w Tyńcu.

Ludzie w kościele podczas oficjum najczęściej starają się naśladować braci. Klęczą jak oni, wstają, gdy oni wstają itd. Ale wielu przyjmuje własne postawy – jedni leżą plackiem, inni leżą krzyżem, inni siadają w lotosie. Nikt tu nikogo nie zmusza do żadnych określonych

postaw, nikogo niczyje zachowanie nie dziwi. Kto chce może stać, kto chce może siedzieć. Jednak z każdej postawy przebija skupienie. Widać, że jeśli ktoś taką przyjął, to po to, by łatwiej mu było się skupić. Nikt nie zachowuje się ostentacyjnie.

Ale skończyło się poranne oficjum i nasza ekipa totumfackich po śniadaniu bierze się do pracy. Mamy posprzątać pulaje. Znajdujemy nie zajęte łóżka, trzepiemy materace, potem na te łóżka przenosimy rzeczy z łóżek sąsiednich i tamte trzepiemy, potem kolejne itd. Myślę, że byłoby znacznie prościej i szybciej, gdyby poproszono mieszkańców, by na godzinę zabrali swoje rzeczy, wtedy szybko byśmy zrobili porządek z łózkami, oni sami pokładliby swoje rzeczy z powrotem. A tak, my roboty mamy sporo, o potem każdy będzie szukał, gdzie jego spanie przeniesiono. Potem zmiatamy podłogi. Ponieważ są trzy pulaje, więc przed południem zrobiliśmy ledwie połowę roboty.

Przy obiedzie, informuję napotkanych Polaków o porządkach, by nie byli zaskoczeni, że ich rzeczy będą gdzie indziej, niż je rano zostawili.

Po południu dokończyliśmy porządki i już więcej zadań dla nas nie było. Poszliśmy przyglądać się przyjmowaniu i rejestracji nowo-przybyłych, a pamiętając o tym, jak mnie irytował brak informacji na początku, patrzę, czy ktoś nie wygląda na zdezorientowanego i próbuję wyjaśniać. Zwłaszcza połuję na nowoprzybyłych rodaków.

O 21 rozpoczynają się dyskusje w namiotach. I patrząc na listę, widzę, że w tym tygodniu namiot 48 jest czysto angielski. Szkoda, że w ubiegłym tygodniu nie było takiego.

23. Wtorek 31 lipca 1973 - Różne dyskusje

Jak wspomniałem w poprzednim odcinku, zacząłem robić sobie wypisy i notatki z Taizowskiego oficjum. Przychodziłem wcześniej do kościoła i z Modlitewnika taizowskiego odpisywałem to i owo. Ale przez to zaniedbałem swoje codzienne notatki, robiłem je skrótowo, mało starannie, gdy potem je zacząłem porządkować, już nie byłem pewien, czy nie pomyliłem dni tu lub tam?

Ktoregoś dnia Warszawiacy podali sensacyjną wiadomość: w Taizé jest ksiądz Piasecki. Nie spytałem, który ksiądz Piasecki. Miałem wrażenie, że chodzi o kapelana prymasa Wyszyńskiego. Ale chyba to były domysły, już nie pamiętam na czym oparte. Mógł to być któryś inny ks. Piasecki. Nasza grupka Polaków zorganizowała spotkanie z nim. On nas wypytywał o wrażenia z Taizé, a my jego o to samo. Właściwie nie powiedzieliśmy niczego specjalnie odkrywczego ani oryginalnego. W pewnym momencie jednak, na marginesie mówienia o ekumenizmie powiedziałem coś ujemnego na temat protestantów, być może że niekorzystnie się prezentują w porównaniu z polskimi, że nie wyobrażam sobie przyszłości ekumenizmu. Na to ks. Piasecki: co dzień powinniśmy Panu Bogu dziękować, za protestantów. To wspaniale wprost, że istnieją. Nadają Kościołowi tyle różnych kolorów, tyle urozmaicenia, a więc bogactwa. O ileż bez nich Kościół byłby uboższy.

Zaskoczyło mnie: taką opinię wygłasza bliski współpracownik naszego prymasa? A może to nie ten ks. Piasecki? Wstydzilem się o to dopytać i nie wiem tego do dziś. W tym co ksiądz Piasecki mówił jest dużo racji, ale nie posunąlbym się aż tak daleko. Brak jedności wśród uczniów Chrystusa jest wbrew Jego woli, wbrew Jego modlitwie we Wieczerniku. Nie wydaje mi się odpowiednim dziękowanie Bogu, że dzieje Kościoła potoczyły się, jak się potoczyły. Chyba lepiej byłoby, gdybyśmy przy tej całej różnobarwności potrafili zachować jedność.

Ale pora wrócić do ekipy totumfackich, do „disponible a tous”. Przedpołudnie zeszło nam na montażu praktykabl na przedłużeniu kościoła. Z uwagi na większą liczbę przybyłych, kościół powiększony będzie maksymalnie, wszystkie trzy segmenty frontonu kościoła będą odstawione a dostawiony trzysektorowy namiot cyrkowy. Aby z namiotu było widać cokolwiek, co dzieje się wewnątrz kościoła, trzeba podnieść poziom, więc montujemy tam owe praktykable, a może zresztą są to siedzenia z cyrkowej areny? Trzeba skręcać

konstrukcję z metalowych rurek i instalować na nich pomosty. Robota dość dobrze poszła i uwinęliśmy się z tym jeszcze przed oficjum południowym.

Prócz pracy dostaliśmy, jako temat do rozważenia i dyskusji, werset Dz 4,32: „*Jeden duch i jedno serce ożywiały wszystkich wierzących. żaden nie nazywał swoim tego, co posiadał, ale wszystko mieli wspólne*”.

Ponieważ mamy jeszcze trochę czasu, więc idziemy lepić „caillou”. Okazało się, że brak gliny, więc znowu trzeba było pochodzić po gospodarczych zabudowaniach klasztornych, aż wreszcie znalazł się brat, który pokazał, gdzie jest glina. Wewnątrz zabudowań wyglądało raczej jak we wiejskim gospodarstwie, nie jak w „obiekcie sakralnym”, ale zapewne tak właśnie wyglądało w klasztorach benedyktyńskich czy cysterskich, które się utrzymywały z gospodarstwa na roli, więc musiały zawierać wszystkie wiejskie obejścia. Co do „caillou”, to ich przygotowanie opisałem w odcinku 10. Wciąż nie mogę doczekać się, kiedy będą wypalone kamyki do nabycia. Niedługo, jak tylko uzbiera się większa partia do wypalenia – słyszę. Narzekam, że chciałbym mieć taki kamyk, a nie ma na to sposobu.

– Jak to, przecież można go kupić w sklepiku.

– Nie można - odpowiadam, bo wszystkie wysprzedane jeszcze przed 10 dniami. Na wszelki wypadek po zakończeniu lepienia raz jeszcze zaszedłem do owego sklepiku, ale, jak się można było spodziewać, jedynie się upewniłem, że kamyków nie było i nadal nie ma.

O godz 15 mamy wspólne spotkanie Equipe d'accueil. Mamy nie tylko wspólnie pracować, ale też i rozmawiać, dyskutować. Wybraliśmy z przedstawionej listy tematów temat 1: Znaki zmartwychwstania. Nie zachowała mi się lista tematów, ani notatki z dyskusji. Pamiętałem, że dużo mówili m.in. Udo i Mark. Znakami zmartwychwstania mamy być my sami, nasze postawy, postępowanie, wypowiedzi... Mojej angielszczyźnie bardzo brak odpowiedniego słownictwa, dyskusja nie dotyczy moich spraw fachowych, podróży, zakupów i innych codzienności, jakie poruszane są na kursach angielskiego. Brakuje mi słów, by się wypowiedzieć i wielu wypowiedzianych terminów nie rozumiem. Mam przy sobie słownik, w niebieskiej okładce i raz po raz tam zaglądam. Zaczynają sobie ze mnie żartować, że nic nie powiem bez patrzenia do „petite livre bleu”, co jest aluzją do Chińczyków posługujących się „petite livre rouge”, czyli czerwoną książeczką z cytatami Mao.

Podczas wieczornych dyskusji wtorkowych o godz 21, tym razem wybieram temat „komórki” – małe grupki spotykające się na modlitwę w stylu Taizé i podejmujące wspólne inicjatywy. Słucham wielu ciekawych świadectw, ale nic z tego nie da się wykorzystać w PRL-owskiej Polsce. Jak „wynająć mieszkania w pobliżu siebie” – w warunkach braku mieszkań i wieloletniego oczekiwania w spółdzielniach mieszkaniowych? Czy można podjąć wspólne inicjatywy, które bezpieka zostawi w spokoju, skoro walczy ze wszystkim, co nie jest czynione na komendę od góry, nawet gdy to tylko śpiewanie folksongów? Nie wspomnę już o krótszej pracy za mniejsze wynagrodzenie by mieć więcej czasu, najpierw musielibyśmy mieć odpowiednio wysokie systemy wynagrodzeń.

24. Środa 1 sierpnia 1973.

Dziś rocznica Powstania Warszawskiego. Warszawiacy obecni w Taizé chcą ją specjalnie obchodzić. Spotkamy się przed popołudniową herbatą na wspólną modlitwę.

Nasza ekipa totumfackich dziś robi sprzątanie namiotów. W olbrzymich namiotach z demobilu, gdzie nocuje ogół trzeba wymienić słomę. Zaczynamy od pustawego namiotu. Rzeczy nielicznych mieszkańców przenosimy do innego namiotu. Potem zgarniamy słomę na niewielką przyczepę, którą bodaj Gothard przyholował traktorkiem. Potem zamiatamy wnętrze namiotu. W zgarnianej słomie odnajdują się różne drobiazgi, karteczki, maskotki, bilon. Wszystko z wyjątkiem bilonu pójdzie do „rzeczy znalezionych”. Bilon będzie wplacony na koszty działalności. Znowu mnie działa na nerwy, że to wszystko za plecami mieszkańców. A może ktoś z nich gdyby wiedział o przenosinach, przesukałby swoje legowisko, czy nie ma tam jakiej zguby? Gothard wywozi słomę z namiotu i przyjeżdża z balami świeżej. Rozkładamy ją w namiocie. Teraz pora na namiot następny. Z niego rzeczy

przenosimy do uporządkowanego namiotu. Ale ten następny namiot, to nie ten, gdzie wykwaterowaliśmy poprzednich mieszkańców. Upieram się, by w związku z tym zostawić przy wejściu kartkę, gdzie przeniesiono mieszkańców dotychczasowych.

Na nerwy działa mi też organizacja pracy. Takie zbieranie słomy rękami. Gdybyśmy mieli widły, grabie, ileż sprawniej by robota szła. Na moje narzekania, już nie pamiętam Peter, Udo, czy ktoś inny znika i wraca po chwili z grabiami do liści. Nie jest to to, o czym myślałem, ale lepsze niż nic.

Rozważamy tekst z 2 Kor 4,7-9.

Przechowujemy zaś ten skarb w naczyniach glinianych, aby z Boga była owa przeogromna moc, a nie z nas. Zewsząd znosimy cierpienia, lecz nie poddajemy się zwątpieniu; żyjemy w niedostatku, lecz nie rozpaczamy; znosimy prześladowania, lecz nie czujemy się osamotnieni, obalają nas na ziemię, lecz nie giniemy.

Podśpiewuję przy robocie. A że rocznica Powstania Warszawskiego, więc śpiewam pieśni powstańcze. Nikt oczywiście nie rozumie, co śpiewam. Ale Chantal chyba wyczuwa, że nie śpiewam tak sobie byle czego.

- Casimir, czemu śpiewasz? –pyta.

Zamilkłem. Szkoda, że nie spytała, o czym śpiewam. Powiedziałbym coś o Powstaniu. A czemu w ogóle śpiewam? Taki był zwyczaj na polskiej wsi, że podczas pracy się śpiewało, nie tylko zresztą podczas pracy. U dziadka prawie cały dzień ktoś coś śpiewał. Ale czy o tego typu wyjaśnienie chodzi Chantal? A może jej chodziło, czemu śpiewam to, co śpiewam? Nim zdecydowałem się, co odpowiedzieć, odeszła w inny kąt namiotu i w efekcie nie wyjaśniłem nic. A może spostrzegła, że się speszyłem? W każdym razie nikt mnie potem nie pytał na temat mojego śpiewania.

O 15 dalszy ciąg dyskusji o znakach zmartwychwstania.

My, Polacy zdecydowaliśmy aby zrobić Polskie spotkanie rocznicowe Powstania Warszawskiego o 21 w ramach wieczornych spotkań, zapraszając nie tylko Polaków.

Spiesząc na wieczorne Oficjum upadłem i powbijalem sobie w dłoń trochę drobnego żwirku, jakim otoczenie kościoła było wysypane. Wydłubałem kamyczki, a po Oficjum poszedłem do punktu medycznego, by mi to zdezynfekowali. Chcieli mi każdą dziurkę zalepić plastrem, ale zaprotestowałem, ba reaguję alergicznie na plastry, więc zaproponowali zalanie jakimś różowym płynem. Nie byłem pewien, co to jest, więc na wszelki wypadek pozwoliłem na potraktowanie tylko części, zobaczę jaka będzie reakcja.

Staszek spytał mnie, co stosuję sam. Powiedziałem, że rivanol. On, że rivanol ma, ale lepsza jego zdaniem jest zieleń brylantynowa. W efekcie postanowiłem sprawdzić i połowę z nieopatrzonych ran przemyłem rivanolem, połowę zielenią brylantynową, miałem więc prawą dłoń w trzech kolorach: różowym, żółtym i zielonym.

Ze spotkania i modlitw w intencji ofiar Powstania Warszawskiego zapamiętałem jedynie nastrój. Nastrój smutku i żałoby, bo właściwie Powstanie było katastrofą narodową o skutkach tragicznych. Zamówiliśmy jutro rano Mszę św. w intencji uczestników Powstania u jednego z polskich księży, przejazdem w Taizé.

25. Czwartek 2 sierpnia 1973 - i różne refleksje

Dziś w programie dnia mamy drugą, polską Mszę świętą, po rannym oficjum, w intencji uczestników Powstania Warszawskiego. Wszyscy jej chcieliśmy, uważaliśmy ją za potrzebną, ważną dla nas. Ale, czy nasza polska religijność nie jest nazbyt dopasowana do żałoby, klęsk i nieszczęść narodowych? Czy gdybyśmy mieli jakąś rocznicę radosną, też obchodzilibyśmy ją? Czy Boga nam potrzeba tylko do przeżywania naszych nieszczęść i dramatów, do nastroju smutku i powagi? Gdy się cieszymy, bawimy, czujemy radość, to już poza Kościołem i bez Boga. Bo przecież w Kościele konieczne jest zachowanie powagi, a powaga i radość wykluczają się. Śpiewamy „My chcemy Boga...” ale czy rzeczywiście chcemy, zawsze i wszędzie?

Po śniadaniu, *disponible a tous* wracają do sprzątanía kolejnych namiotów. Do rozważania mamy dziś jakiś fragmencik tzw. Reguły Taizé. Chyba był to któryś z fragmentów przytoczonych przeze mnie w odc. 5. ale nie dam sobie ręki uciąć.

W trakcie rozmów nachodzą mnie różne refleksje, które zapisuję.

Problem ludzi „na szczycie” – są oni izolowani przez swe otoczenie, które podaje im tylko dobre wiadomości, lub wiadomości leżące w ich interesie, w ten sposób tracą kontakt z ludźmi normalnymi, tracą pojęcie o życiu przeciętnego człowieka, o jego problemach, zaczynają tracić kontakt z rzeczywistością, żyją fikcją nie zdając sobie z tego sprawy. Dotyczy to z pewnością elity PZPR-owskiej w Polsce, ale widać i elit na zachodzie, a w pewnej mierze także hierarchii kościelnej. Z pewnością kościelnym hierarchom potrzebni są BBB (cf. Marshall „Cud Ojca Malachiasza”, BBB= bezbożny brat biskupa).

Problem ekumeniczności Taizé. Taizé stanowi dużą wartość. Istnienie jego, jako niekatolickiej wspólnoty, jest dowodem, że protestant reformowany może o Matce Boskiej myśleć jak brat Max Thurian, o papieżu mówić jak brat Roger. Jeśli tak, to może z czasem i więcej protestantów będzie myśleć podobnie i otworzy się droga do jedności. Ale z drugiej strony, czy braci z Taizé można nadal traktować jako protestantów? Zagadnąłem o to przy okazji brata Klausa. Obruszył się. Obawy są niesłuszne, bracia bardzo silnie są zakorzenieni w swoich Kościołach. Ale nie rozwiewa to wątpliwości.

Bracia zawzięcie zaprzeczają, by istniało coś, co można by określić, jako Teologia Taizé.

A jednak

Przeglądając wydawnictwa, czy prasę Taizé w „Exposition” – dostrzegam w tym wszystkim coś wspólnego, coś charakterystycznego, pewien wspólny mianownik. Może jest to sposób podejścia do problemu? Pewna całość, na którą składają się odpowiedzi z różnych ksiąg, z różnych stron, od różnych braci. To chyba właśnie jest teologia Taizé.

Przypomina mi się znajomy z krakowskiego Salwatora, entuzjasta Soboru Młodych, dla którego Sobór Młodych jest to wartość najwyższa i chyba zarazem jedyna. On chce robić Sobór Młodych, bo to jedyna rzecz w Kościele, która jest cokolwiek warta. Na wszelkie inne rzeczy szkoda naszego czasu. A przecież Sobór nie jest celem, a środkiem. Jeśli nie dostrzega poza SM innego celu, to po co mu SM?

Co dzieje się dalej z pojawiającymi się w Taizé ludźmi spoza Kościoła? Takimi, którzy nie są żadnego wyznania i dalej nie chcą być, chcą być tylko Taizé. Tu coś odnaleźli i jak mają „wybrać” wyznanie? Jak Taizé ich ustawia? Czy raczej nie ustawia i pozostawia bez rady? To oczywiście nie jest żaden zarzut, oni i tak nie byliby nigdzie. Ale trzeba zwracać uwagę, by dążąc do jedności nie stworzyć nowej sekty (w historii już tak bywało).

Brat Klaus tłumaczy: Nie, my tych ludzi w rozmowach ustawiamy, my im tłumaczymy, że trzeba być w Kościele...

A co z ludźmi, których Taizé stawia w konfliktach z własnym sumieniem lub z ich Kościołem? Czy to nie może być źródłem dalszych rozłamów? Czy takich ludzi nie ma?

Nie wystarczy też, że bracia czują się związani ze swymi Kościołami, ale potrzeba raczej, by tamte Kościoły czuły, że bracia do nich należą, by ich miały za „swoich”.

Znowu o godz. 15 „Skrzyżowania” czyli dyskusje. My mamy dalej „Znaki zmartwychwstania”. Jak wspomniałem, zginęła mi lista tematów. Przypominam sobie jednak, że były także:

Kościół jutra

Trzeci świat - walka o wyzwolenie

Znaki zmartwychwstania dziś

Medytacje nad Biblią

Ci, co do Taizé wpadli na krótko, mogą uczestniczyć w 1-dniowych dyskusjach na tematy m.in:

O modlitwie

Azja i Zachód

Praca fizyczna
Teatr i poezja

Ale wracamy do znaków zmartwychwstania. Każdy z nas odpowiada na pytania:

Co dla mnie oznacza Chrystus?

Co dla mnie oznacza zmartwychwstanie (ogólnie)?

Co dla mnie oznacza zmartwychwstanie Chrystusa?

Co jest dla mnie znakiem zmartwychwstania Chrystusa?

Co jest znakiem zmartwychwstania Chrystusa w moim kraju, w moim Kościele?

Typowe odpowiedzi, to: Podstawa życia, przełomowy fakt historyczny, czasem coś nie do przyjęcia na zdrowy rozum.

Znakiem zmartwychwstania Chrystusa jest każda msza święta, specjalnie niedzielna, lub w święta, najbardziej każda Wielkanoc,

Znakiem zmartwychwstania jest chrzest

W życiu codziennym takim znakiem jest np. praca socjalna, za niskim, lub żadnym wynagrodzeniem, pomoc Indiom, życie w grupie i modlitwa w grupie, znakiem jest też odmowa służby wojskowej.

Znakiem jest każdy „święty”, każdy człowiek oddający życie za innych, żyjący za innych, Dom Helder Camara, Martin Luther King i inni...

Znakiem może być życie we wspólnocie, dążenie do jedności, w Ulsterze wspólnota katolików i metodystów.

Kiedy przyszła moja kolej odpowiedzi, zapytano mnie, jak to jest w Polsce z odmową służby wojskowej? Wyjaśniłem (rok 1973!), że w Polsce pomimo, że władza jest narzucona i niepopularna, jednak wojsko ma swój tradycyjny autorytet. Że jesteśmy narodem, który długie lata walczył o niepodległość, który wciąż czuje się zagrożony i stąd silna jest tradycja walki, zatem i nabycia umiejętności bojowych podczas służby wojskowej. Uchylenie się od niej jest uważane za brak patriotyzmu. Nie znaczy to, że nie ma takich, co od służby się migają, ale nie jest to odmowa z racji ideowych, pacyfistycznych, tylko wykręcanie się od obowiązków, z racji ekonomicznych. Że za odmowę służby wojskowej wędruje się do więzienia, więc kto chce wymigać się od wojska musi kombinować ze świadectwem lekarskim itd. Jedyne znane mi wyjątki stanowią Świadkowie Jehowy, którzy otwarcie służby wojskowej odmawiają i nieraz trafiają z tej okazji do więzienia. Niemniej ani oni, ani inni, co od służby się wykręcają, dla ogółu Polaków w żadnym razie nie są znakami zmartwychwstania.

Kiedy jednak było podsumowanie, z zaskoczeniem stwierdziłem, że powiedziałem, co chciałem, a sprawozdawca usłyszał co chciał. Powiedział, że nawet w Polsce, gdzie za odmowę służby wojskowej grożą poważne represje, znajdują się ludzie odmawiający służby wojskowej i mogą być znakami zmartwychwstania.

Przyznam się, że mi ręce opadły. Co te dyskusje są warte? Co warte są wnioski i sprawozdania, tak tworzone?

I kolejna fala refleksji:

Taizé wypracowało własną historię, własne doświadczenie, specyficzny styl. Ma już szereg gotowych odpowiedzi. Gotowych rozwiązań. Ludzie są tu mieszanymi, krzyżowanymi, na grupy duże i małe, kraje i języki, tematy tego i innego, namioty itd. Dawne wspólne życie siódmką z otwarciem się wszystkich na siebie to już historia. Wielu ludziom przeszkadza nieznanostwo języka, wielu brak okazji... Ludzie bez wiedzy i doświadczenia trafiają na ludzi o obfitej wiedzy itd. Ci drudzy mają od razu gotowe odpowiedzi. Ale one już nie mają tej wartości, co wtedy, gdy młodzi sami się ich dopracowywali, gdy sami je odkrywali. To gotowe już nie jest ich, jest obce. Swego nie znajdują.

Styl animacji stał się schematyczny. Z góry idą pytania, na które się odpowiada. Tworzy się rywalizacja w odpowiedziach między małymi grupami, każda chce wypaść „lepiej”, sprawozdawcy zaczynają (być może nieświadomie) „podrasowywać” wyniki dyskusji w swych grupach. Atmosfera udzielania odpowiedzi szybkich może skłaniać do nieszczerości, do zgrywy. Gubi się autentyczność.

Czy Taizé nie sprawia, że ludzie stają się niecierpliwi? Że chcieliby widzieć jedność już, teraz, zaraz, na siłę, zignorować wszelkie spory i różnice. Unowocześnianie Kościoła na siłę może powodować wiele zła. Na Zachodzie nietolerancyjni reformiści stanowią problem. Prawosławni z USA opowiadają o likwidacji wnętrza, ornatów, zakazie habitów dla zakonnicy.

Czy z nami nie jest tak, jak z Izraelitami na pustyni: ci co z Mojżeszem wyszli musieli umrzeć, dopiero potem możliwe było wkroczenie do Ziemi Obiecanej. Może tak i w Kościele? To pokolenie musi wyrzucić nim nastanie naprawdę nowa epoka?

Tylko czy zachód jest wzajemnie tolerancyjny?

Młodzi mówią, że starzy są do kitu.

Starsi, że młodzi są bez wiedzy i doświadczenia

Odnowiciele, że stare przeżyło się i zatraciło wartość

Tradycjoniści, że nowe jest zdradą.

Czy potrafimy być wzajemnie tolerancyjni?

Czy Taizé zwraca dostateczną uwagę na tolerancyjność, połączoną jednak z dotrzymywaniem wierności własnemu Kościołowi? nie tylko na nowe odkrycie Ewangelii ale i na wizję jutra - wiosny Kościoła? Na tolerancję licznych drobiazgow, może przeżytków, ale dla starszych cennych, na zmianą delikatną i cierpliwą?

W ramach dyskusji wieczornych, o 21 wybieram temat „Święto” ale od początku do końca nie odzywam się, a prawdę mówiąc, po jakimś czasie przestaję uważnie słuchać, co się mówi, a gdy się na tym łapię, po prostu wychodzę.

26. Piątek 3 sierpnia 1973 - I na co to Taizé?

Jak wspominałem, u wejść do kościoła leżą w stosikach modlitewniki Taizé i śpiewniki. Wchodzący na oficjum biorą po parze. Napisy wzywają, by po oficjum zostawić je tam, skąd się wzięło. Zostawiane są jednak gdzie bądź i grupa liturgiczna (z udziałem Hanki) zbiera je, porządkuje i na nowo układa w stosiki mniej więcej równej wielkości przy każdym z wejść.

Rozmawiając po oficjum z bratem Clementem, zapytałem go, skąd można zdobyć taki śpiewnik. Na to brat podszedł do stosiku, wziął jeden z wierzchu i wręczył mi, mówiąc: zabierz sobie. Jak chcesz, to sobie weź modlitewnik z tekstami Oficjum. Poczuję się jednak nieswojo, jakbym w jakiś sposób zubożył młodzież przygotowującą swój Sobór. Zatrzymałem sobie jednak śpiewnik, modlitewnika nie wziąłem, głównie dlatego, że był w połowie nieaktualny. Pytałem brata Clementa o melodie psalmów. Zdziwiło go, że sam tego nie spostrzegłem: - przecież to O. Gelineau! (wiele psalmów w jego układzie śpiewano i w Polsce). A w ogóle to między braćmi są utalentowani artyści. Jeden z braci ma wybitny talent kompozytorski, on ułożył większość kanonów i śpiewów, opracował responsoria, on dba, by całość liturgii muzycznie się komponowała, by melodie psalmów, pieśni, responsoriów itd. pasowały wzajem do siebie, a nie były od Sasa do Lasa.

Inny z braci maluje. Trudno nie podziwiać niewielkich witraży w kościele Pojednania, piękne są ikony w kaplicy prawosławnej, ale ikona Matki Boskiej, pod którą przechowywany jest katolicki Najświętszy Sakrament jest szczególnie. Twarze Matki i Dziecka, pełne wyrazu wzajemnej miłości i czułości nie pozwalają przejść obojętnie obok. Jeden z protestantów powiedział, że patrząc na tę ikonę nagle zrozumiał, czemu katolicy mają kult maryjny i o co w tym chodzi. Niestety, nie udało mi się nigdzie dopaść reprodukcji tej ikony.

Mamy kolejny dzień sprzątanania namiotów, ale im dalej, tym bardziej się obco czuję w tej grupie totumfackich. Oni są jakby „tutejsi”, ja ciągle jestem „obcy”. Być może są to problemy językowe i moje nierozładowane poczucie humoru – nie znam na tyle angielskiego

ani francuskiego, by móc żartować w którymś z tych języków – ale może jest to bariera wschód – zachód. Nasza kultura słowiańska jest inna, o ileż łatwiej dogadać się z Czechem czy Słowakiem. A dodatkowo brak doświadczeń zza żelaznej kurtyny. To nie są energowscy Niemcy, jak ci w Chludowie.

Po południu część braci jest dostępna w kościele. Kto chce odbyć z którymś z nich rozmowę indywidualną, może przyjść i pogadać (odczekawszy w kolejce). Postanowiłem pogadać z bratem Klausem. Czekaając w kolejce na rozmowę, odniosłem wrażenie, że te indywidualne rozmowy z braćmi to jakaś namiastka spowiedzi. A że brat Klaus jest katolickim księdzem, to pewnie jest to rzeczywista okazja do spowiedzi. Ale skoro oficjalnie to ma być indywidualna rozmowa na nieokreślony temat, to ja nie skorzystam z okazji.

Zamiast tego wyrzuciłem z siebie wszystkie moje zarzuty pod adresem Taizé. Że przyjeżdżają tu narkomani i nikt nimi się nie zajmie. Że co ma wynikać z dyskusji toczonych w grupach, jeśli są w stylu „powiedzieli co chcieli a w podsumowaniu znalazło się to, co ustalono z góry”. Że młodzi się tu nie doksztalają, przyjeżdżają religijni ignoranci, podyskutują w gronie podobnych ignorantów i tylko się w ignorancji umocnią. Że przyjezdni mają tak straszny brak poszanowania dla pożywienia, dla rzeczy, dla pracy – nikt nie próbuje walczyć z tym nieposzanowaniem, z marnotrawstwem, nikt nie próbuje tu zwracać uwagi na to. Już sam nie pamiętam, co mówiłem jeszcze. Brat Klaus na to wszystko: - Za dużo sądzisz innych. Oceniasz. Więcej myśl, co sam możesz wnieść w przygotowania Soboru Młodych, co sam możesz nauczyć się od drugich. Czy Taizé niczego Ciebie nie nauczyło? Czy nic się w tobie nie zmieniło?

Z tym musiałem się zgodzić. Brat Klaus dodał: - Taizé nie jest uczelnią ani ośrodkiem wychowawczym. Taizé nie powstało dla młodych. Bracia działają poprzez przykład własnego życia, poprzez modlitwę. A owoce tego są i tak nieoczekiwane duże. Ci, co tu przyjeżdżają, czegoś szukają. Do nich należy ruch, nie do braci z Taizé. Jeśli ktoś chce się teologicznie doksztalić, są odpowiednie książki do nabycia w sklepiku, lub gdzie indziej. Bracia mogą doradzić, polecić. Ale Taizé przyciąga także dlatego, że nikt tu nikogo nie będzie nawracał ani umoralniał, o ile ten ktoś sam tego nie zapragnie, czy sam o to się nie zwróci. Podobnie z narkomanami. Nikt ich stąd nie będzie przepędzał, nikt nie będzie ich zmuszał do leczenia, chyba że się sami o pomoc zwrócą.

A spotkania i dyskusje mają uczestników otworzyć na odmiennosc innych, żeby w tej odmiennosci widzieli wartosc, nie zagrozenie. Bez tego poszanowania cudzej innoSci, odmiennosci, jej wartosci, nie ma mowy o pojednaniu, ani o ekumenizmie.

O godz. 20, po wieczornym oficjum bylo kolejne ogolne spotkanie z bratem Rogerem. A po tym spotkaniu znów do mnie docierają rozmaite wypowiedzi na temat brata Rogera. Jedni zafascynowani są jego osobowoscia, chloną każde słowo przezeń wypowiedziane z zachwytem, jak słowo proroka. Drudzy zwracają uwagę na brak konkretności w jego wypowiedziach. Że zwłaszcza w jego odpowiedziach na pytania można zauważyć troskę o niejasność, niejednoznaczność, nieokreśloność, ostrożność, by nie rzec nic, z czego by coś wynikałoby, co mogłoby być użyte inaczej. Jego wypowiedzi są raczej niedopowiedziane, by każdy sam sobie uzupełnił; tyle, że to można zrobić na wiele sposobów. Ale znowu ogólniki to każdy zna sam i bez tego spotkania, więc po co ono?

Pierwsi mówią o drugich – że to nieotwarci, głusi, że nie umieją dostrzec tego, co istotne. Drudzy o pierwszych, że bezmyślni i nierefleksyjni. Czy trzeba aż brata Rogera, by coś do nich dotarło, czy trzeba aż Taizé, by przeżyli coś, co właściwie przeżyć można wszędzie.

27. Sobota 4 sierpnia 1973 - Dzień odmienny

O ile w piątek moje zniechęcenie, czy wątpliwości co do sensu tego, co dzieje się w Taizé doszły do szczytu, sobota okazała się odmienna.

Rano po oficjum podchodzi do mnie dziewczyna, przedstawia się jako Elizabeth i mówi, że grupa Niemców chciałaby spotkać się z Polakami i porozmawiać o II wojnie światowej i

jej następstwach. Zdaje się, że to może być efekt naszych obchodów rocznicy Powstania Warszawskiego. Ciekawe, że zaczęła akurat mnie. Czy dlatego, że w grupie rodaków się szczególnie wyróżnia (np. zamiast paska w spodniach używałem pętli zjazdowej spiętej karabinkiem i łatwo po tym szczególe mnie zidentyfikować w tłumie tysięcy osób)? A może wydaję się bardziej przystępny? A może byłem pierwszym Polakiem, który się jej nawinął przy wychodzeniu z kościoła? Mówię, że pomysł mi się podoba i z pewnością się wśród Polaków inni zainteresowani takim spotkaniem, więc może jutro? Porozmawiam, zorientują się w rozkładzie dnia, ale pewnie po lanczu. Umawiam się, że spotkamy się jutro przy tym samym wyjściu, po porannym oficjum.

Zawiadamiam Staszka i parę innych osób. Wszyscy są poruszeni i zgadzają się, że takie spotkanie może być cenne i odmówić nie wolno. Hanka proponuje zaprosić brata Klausa na spotkanie i godzinę dostosować do jego możliwości.

Z kolei dla mnie Hanka ma inną wiadomość: do brata Rudolfa przyjechał brat (rodzony), Andreas. Rozmawiała z nim, jest bardzo sympatyczny, wybiera się jesienią do Polski, będzie w Krakowie. A na dziś zaproponował nam wycieczkę po okolicy. Czemu nie? Dla nas to okazja jedyna, która się nie powtórzy.

Więc przy śniadaniu usprawiedliwiamy się w naszych ekipach, że nie będzie nas dziś, ale obiecujemy, że pojawimy się wieczorem na spotkaniu pożegnalnym.

Chantal w sprzątej słomie znalazła czyjś zgubiony „kaju”. Hej, Casimir – zawołała – chciałeś mieć le cailou, chwytaj. – I rzuciła mi. Ubrałem, choć poczułem się nieswojo, bo nie można było wykluczyć, że poprzedni właściciel jest wciąż jeszcze w Taizé. Będę więc się z nim być może obnosił na jego oczach. Z drugiej strony, przy zwyczajach panujących tu, na odszukanie właściciela i tak nie ma szans.

Z Andreasem jedziemy najpierw do Cluny – lokalnymi drogami, bardzo wąskimi, ledwie się auta mogą minąć, biegnącymi to wśród żywopłotów, to murków kamiennych. Z całego wielkiego opactwa Cluny zostało nieco ruin. Są one, jeśli idzie o wielkość imponujące, a to jedynie fragment bocznej nawy. Wszystko zaniedbane i opuszczone (dziś podobno już tak źle nie jest, ruiny zabezpieczono, niektóre ubytki zrekonstruowano). Cluny załatwiła rewolucja francuska. Mnichów wypędzono, budynki upaństwowiono i przeznaczono do rozbiórki na materiał budowlany. Co prawda największe spustoszenie przyniosły czasy napoleońskie, ale dopiero w 1823 zaniechano dalszego niszczenia. Cóż, to mają do siebie rewolucje i gwałtowne przemiany ustrojowe, że wiele z dorobku poprzednich pokoleń idzie w ruinę. Okoliczni wieśniacy zostali w większości zateizowani, nie zachowała się żadna lokalna tradycja. A jednak brat Roger wybrał Taizé na siedzibę Wspólnoty między innymi z uwagi na bliskość Cluny.

W lepszym stanie jest dawne opactwo św. Filiberta w Tournus. Wielki romański kościół wyróżnia się frontonem z jedną wieżą ukończoną i drugą nieukończoną. Gdy wchodziliśmy do kościoła akurat odbywał się tam jakiś ślub. Dziwne wrażenie. W ogromnym pustym kościele grupka ludzi przy ołtarzu. W galowych strojach z odznaczeniami, robią wrażenie jakichś lokalnych notabli. Duchowni, w uroczystych szatach. Można pomyśleć, że Kościół we Francji związał się z garstką dawnych arystokratów, a z ogółem ludzi urwał się mu kontakt. Normalne, codzienne życie toczy się z dala od Kościoła. Zdaję sobie oczywiście sprawę, że to wrażenie jest najpewniej mylne, że nie można się taką jedną scenką sugerować i robić aż takich uogólnień. Ale wrażenie „rejestruję”. Jest w Tournus jeszcze drugi zabytkowy kościół, też warty obejrzenia. A ja dodatkowo jestem zadowolony ze spaceru po mieście, bo udało się mi kupić parę widokówek.

Andreas chce pokazać nam nie tylko zabytki, ale i krajobraz, przyrodę. Jedziemy na wschód, auto wspina się na jakieś wzgórze, w większej części pokryte lasem. Wysiadamy i wędrujemy po lesie, dochodzimy do polany widokowej. Na zachodzie niewidoczna dolina Saony i gdzieś Taizé nad nią, do dojrzenia, gdyby mieć dobrą lornetkę. Na wschodzie wznosi się Jura. Zataczając łuk lasem, już pomału w stronę zostawionego auta, spostrzegamy grzyby, wyglądające dość znajomo. Ani chybi pieczarki. A może fałszywe pieczarki, może trujące

grzyby łudząco do pieczarek podobne? Mama moja kiedyś o mało się nie przejechała na tamten świat, nazbyt ufając swej mykologicznej wiedzy. Więc trzeba być ostrożnym. Andreas mówi: ja na grzybach nie znam się, nigdy sam nie zbieram. Ale zapach, budowa, kolor blaszek – słabo różowawy u młodszych, szary u starszych osobników – wyglądają dokładnie tak, jak pieczarki dziko rosnące na polach dziadka. Zbieramy.

Po powrocie, przez Macon, wędrujemy z Andreasem i bratem Rudolfem do klasztornej kuchni i tam w trójkę pichcimy obiadek (straciliśmy lancz), którego główne danie to makaron z pieczarkami. Zjedliśmy ze smakiem. Po wyjściu trafiam na sanitariuszkę z punktu medycznego, co mi opatrywała dłoń. Mówię jej żartem, że byliśmy na wycieczce, znaleźliśmy grzyby i zjedli. Więc, jeśli były one trujące, to będzie mieć niedługo pacjentów. Ona jednak do żartów nie taka skora: - Gdzie te grzyby, chce rzucić na nie okiem. – Niestety, zjedzone w całości, nie zostało nic. Usiłuję zatrzeć jej niepokój, ale z tego wszystkiego mylą się mi czas przeszły z przyszłym i wynika taki mętlik, że już zupełnie nic z tego nie pojąć. Więc nie wyjaśniam, tylko mówię „au revoir”.

Przyjechali nowi znajomi: Staszek i Isia – para absolwentów matematyki, znajomi z duszpasterstwa i z Tatr. Wyraźnie udana para – on jesienią wstąpił do Franciszkanów, ona do jakiegoś żeńskiego zgromadzenia. Udzielamy im wszelkich informacji, co gdzie i jak.

Z pożegnalnego spotkania Equipe d'accueil i Disponible a tous nie zapamiętałem nic, poza tym, że się odbyło. Być może dlatego, że myślamy byłem czym innym zajęty. Termin spotkania polsko-niemieckiego uzgodniliśmy z bratem Klausem na godz 15. Niemców na pewno przyjdzie spora grupka – są inicjatorami, a zresztą w Taizé są setki, jeśli nie tysiące Niemców. A nas, Polaków niewielu, parunastu, przy czym jedni przyjeżdżają, inni odjeżdżają, więc dla równowagi wypada abyśmy w spotkaniu praktycznie wszyscy wzięli udział.

Wieczorem, jak co tydzień będzie święto. Magda postanowiła, że w ramach święta będzie „namiot polski” z polskimi zabawami i śpiewaniem polskich piosenek. Wydaje mi się to porywaniem z motyką na słońce, ale swego wkładu nie mogę odmówić.

I ostatnie: Jacques jeszcze zostaje w Taizé, nie odwiezie nas do Paryża, musimy poszukać sobie kogoś innego. W końcu dużo ludzi wraca, tylko czy już nie za późno?

Nie będę po raz drugi opisywał wieczorno-paschalnego oficjum. Było jak poprzednio. Tyle, że tym razem nie śpiewano „Resucito” ale „Chrétiens, chantons le Dieu vainqueur”. Francuzki śpiewające to miały głosy słabsze, niż Hiszpanki tydzień temu, nie było też tak dobrego podkładu muzycznego. Śpiewały jednak żwawo, skocznie, w rytmie 3/4, że w zasadzie porywało do tańca. Ale może ja się rozbestwiłem? Nie można dwa razy wejść do tej samej rzeki, ani tego samego przeżyć dwukrotnie. Więc dla mnie to już nie było to. Ale inni tego nie odczuwali, przeżywali święto, więc czym się mam przejmować? Zbieramy się w „polskim namiocie”. Magdę cechuje ogromna pewność siebie, jak coś umyśli, nie daje się łatwo zbić z tropu. Więc mimo obaw, namiot polski był imprezą udaną. Był „Stary niedźwiedź mocno śpi”, było „Tańczymy labado” i podobne zabawy, śpiewaliśmy piosenki z refrenami typu tralala, a więc „Szła dziewczeczka do laseczka...” (jest zresztą angielski przekład: “In the forest strolled a maiden, in the forest green”). Największe wzięcie miało jednak “Ogniska z dala płoną już” z refrenem Kej la la... Co prawda oryginał pieśni jest rosyjski, ale w końcu piosenka jest u nas popularna. Zaciekawionym uczestnikom zrobiłem przekład angielski, nie dało się go co prawda śpiewać, ale piosenka się podobała jeszcze bardziej: - taka nastrojowa, taka poetyczna...

Zacząłem pisać tekst polski i przekład angielski kolejnym osobom, komuś nawet zdaje się napisałem nuty, paru osobom dałem też tekst rosyjski – uczący się rosyjskiego nie są taką rzadkością na zachodzie, polskiego uczy się mało kto, chyba że ma Polskich antenatów.

Zabawa rozkręciła się całkiem dobrze, po jakimś czasie stwierdziłem, że już doskonale dadzą sobie rady beze mnie, więc popatrzyłem trochę co w innych namiotach i poszedłem spać, nie czekając końca.

28. Niedziela 5 sierpnia 1973 - Ostatnie spotkania

Któryś z rodaków mówi nam rano: - Szukacie auta na powrót do Paryża? Ja już znalazłem, mogę wam odstąpić mój plakat. Więc pod Tyńcem wieszamy afisz przedstawiający parę turystów z plecakami i napisem: Polak i Polka szukają 2 miejsc w aucie do Paryża, wiadomość do pulaja nr 3.

Na porannym oficjum było tłoczno, wiele osób zjechało do Taizé na weekend, ciężko się było dopchać do tamtego wyjścia, co wczoraj, wyszedłem z kościoła innym i zacząłem się rozglądać za wczorajszą Elizabeth. Już zdawało mi się, że ją widzę, ale była to jakaś obca mi Włoszka. W końcu gdy już większość opuściła kościół, stanąłem przy odpowiednim wyjściu i cierpliwie czekałem. Po jakiejś chwili pojawiła się Elizabeth. Powiedziałem, że ustaliliśmy na godz. 15 i zamówiliśmy brata Klausa. Zaaprobowała.

Większość przedpołudnia schodzi nam na pożegnaniach, wymianach adresów itp. Jeden z rodaków, Edek, mówi, że jest odzew na nasze ogłoszenie. Anne, Francuzka z jego grupy, wraca jutro do Rouen, przez Paryż. Miała zaklepanych pasażerów, ale coś się odmieniło i wraca sama. Widziała nasz plakat i pytała, o kogo chodzi. Więc Edek nas zapoznaje z Anne i umawiamy się na wyjazd gdzieś po śniadaniu. Okazuje się zresztą, że teoretycznie powinienem ją znać, bo we środę i czwartek była na spotkaniach „Znaki zmartwychwstania”. Ale ja mam kiepską pamięć do twarzy.

Zobaczyłem Cedryka, więc zaproponowałem, że i jemu wpiszę słowa i przekład „Ogniska z dala płoną już”, co go ucieszyło.

O godz 11 było spotkanie z bratem Rogerem. Poprosiliśmy z Hanką o spotkanie indywidualne, na pożegnanie i umówiliśmy się na wieczór, po komplecie.

Ktoś wyszedł z pomysłem, by zrobić spotkanie uczestników z „demoluda”. Znowu ogłoszenie. I spotkanie po lanczu, o 14. Ze spotkania pamiętam niewiele, paru Węgrów, dziewczyna za Słowenii i chyba nikt poza Polakami. Andreas z Budapesztu opowiadał o tamtejszej sytuacji. Jego zdaniem nie jest tak źle, mają w zasadzie dużą swobodę i możliwości działania, ale istnieją niepisane granice, których się nie przekracza, bo mogą być poważne konsekwencje. O jakie granice chodzi? Przede wszystkim o ujawnianie się na zewnątrz, o jakiegokolwiek manifestowanie publiczne. Można działać, póki to ma nieformalne ramy, informacje przekazuje się pocztą pantoflową, działalność jest w gronie znajomych i znajomych tych znajomych itd.

Któryś inny z Węgrów, po cichu (czemu?) mi powiedział: Andreas jest protestantem, oni są pod kontrolą, więc na to i owo się im pozwala, ale katolicy mają dużo ciężiej. Wiedziałem, że ma rację, parę lat wcześniej pojawiła się węgierska studentka na obozie letnim Duszpasterstwa Akademickiego i prosiła, by nikt nie próbował szukać z nią kontaktu na Węgrzech, bo wyleci za studiów.

Miałem obawę, że spotkanie polsko-niemieckie ucierpi na skutek poprzedniego spotkania godzinę wcześniej. Ale niepotrzebnie. Była nas dostatecznie liczna grupa, choć Niemców ciut więcej. Razem nieco ponad dwudziestka. Z początku przedstawiamy się. Niektóre przedstawienia się zdążyłem zapisać.

Zapisałem, że Elizabeth jest nauczycielką licealną, uczy dzieci w wielu 12-17 lat, ale wolałaby pracować w przemyśle. Hans Dittre jest po dwóch latach filozofii w Bonn, oraz na teologii, od 2 lat jest w „komórce taizowskiej”. Rita studiuje pedagogikę społeczną, by lepiej znać społeczne życie pracuje jako przedszkolanka w domu dziecka. Jej mąż Bruno jest inżynierem, Günter - technikiem laboratoryjnym, Pete pracuje w fabryce jako dekorator. Andreas jest luterańskim pastorem z Hamburga, ma żonę i dwójkę dzieci.

Spotkanie było trochę w nastroju „wybaczymy i prosimy o wybaczenie”. Co zrobić, aby ponura przeszłość nie kładła się cieniem na życie następnych pokoleń. Niemcy reprezentowali te środowiska, które żyją z poczuciem winy. Problemem jest, że pokolenie wojenne niechętnie opowiada o wojnie i o tym, co robili w tym czasie. Jest to zrozumiałe, ale też młode pokolenie nie ma pewności, czy ojciec, wuj, dziadek nagle nie okażą się poszukiwanymi zbrodniarzami wojennymi, czy nie mają niewinnej krwi na rękach. Dla nas

patriotyzm jest wartością, możemy śpiewać wojskowe pieśni, u nich jest to skażone przez nazistowskie odniesienia.

W gruncie rzeczy na te wszystkie problemy można jedynie zastosować „grubą kreskę”, choć nie używaliśmy tego określenia. Winy wojenne zostają z pokoleniem wojennym, pokolenia powojennego nie obciążają. Naszym zadaniem będzie budowa dobrej przyszłości, z dobrymi i przyjaznymi stosunkami między naszymi narodami. Jak orędzie taizowskie głosi, Chrystus Zmartwychwstały udzieli nam dość wyobraźni i odwagi, byśmy umieli wejść na drogę pojednania. I nauczy nas raczej własne życie oddać, niż dopuścić, by jakkolwiek inny człowiek padł naszą ofiarą.

Jak bardzo różniło się to spotkanie od rozmów z NRD-owcami w Chłudowie. Ale trudno się dziwić, ich się wychowuje w mniemaniu, że II wojna światowa ich nie dotyczy, że są „nowym narodem niemieckim”.

Wieczorem czekamy sporą chwilę w kolejce do brata Rogera. Żegnamy się, obiecujemy przekazać pozdrowienia, a przy okazji wypowiadam kilka uwag, np. brak mi w Taizé krucyfiksu. – Jak to, dziwi się brat Roger, przecież jest tu krzyż i to niejeden. – Tak, ale to krzyże romańskie, Chrystus na nich nie jest cierpiący. Jestem przyzwyczajony do krzyży barokowych, pod którymi można rozważać mękę Chrystusa. Mówię też, że szkoda iż nie można nabyć reprodukcji ikony Matki Boskiej. Znow brat Roger się dziwi, przecież są na pocztówkach. – Nie, na pocztówkach jest ikona z kaplicy prawosławnej, nie ta z ołtarza z katolickim Najświętszym Sakramentem.

Dzielimy się też obawami, co do możliwości działania w Polsce. U nas partia ma monopol na inicjatywę. Działać można tylko na jej komendę od góry, a wszystko, co robi się, idzie na jej konto. Więc jeśli chce się coś zdziałać, musi to iść na konto „komuny”, nie na konto Kościoła. Brat Roger jest zdania, że należy działać, nawet na konto komuny. Niech nie wie lewica, co robi prawica. Podpis „katolicy” nie jest potrzebny, niech partia się podpisuje. Ojciec, który widzi w ukryciu odda tobie. Nie można marnować okazji zrobienia dobra, nawet gdyby to miało być z komuną i na konto komuny. Dobro ma jednego autora, który da się poznać, gdy nadejdzie pora.

Czytając te moje relacje, trzeba brać pod uwagę, że podczas rozmowy z bratem Rogerem nie trzymałem w ręku notesu, nie zapisywałem jego wypowiedzi tak jak brzmiały, nie mówiąc o autoryzacji. Zapisywałem później, własnymi słowami to co wydawało się dla mnie ważne.

Nie potrafię powiedzieć, którego dnia i przy jakiej okazji zostawiałem jakieś wypowiedzi na piśmie, czy może odpowiadałem na jakąś ankietę?

Po co/jak żyję?

- w jakich chwilach żyję najpełniej? Odp: gdy zrozumiem coś nowego, gdy stworzę coś nowego

- co mi przeszkadza żyć pełnią? (co we mnie, co obok mnie?) Odp. brak przekonania, że to co robię jest komukolwiek potrzebne, gdy czuję brak potrzeby, czy w ogóle zainteresowania w otoczeniu tym co robię.

Jaki wybrałem temat dyskusji, dlaczego? Nie napisałem nic.

...

Inne moje uwagi:

1. Kościół jest zorganizowany. Jak się ma Sobór Młodych do Kościoła, jako organizacji. Czy jest w ramach Kościoła czy obok Kościoła?

2. Sobór Młodych ma objąć wszystkie Kościoły. Ma też objąć środowiska niechrześcijańskie. Jak? Czy Chrystus Zmartwychwstały może być oparciem dla niewierzącego w zmartwychwstanie? Niewierzącego w Boga? Czy na nie-prawdzie można cokolwiek zbudować?

3. Szacunek dla innego człowieka to też szacunek dla jego pracy. Czy jest w porządku bezmyślne śmiecenie, lub świadome śmiecenie, z uzasadnieniem, że sprzątający będą mieli co

robić? Czy śmiecenie nie jest przeciw środowisku? Czy nie należy zdobyć się na odrobinę wysiłku i unikać śmiecenia? Czy nie należy na to zwracać uwagi?

4. To samo dotyczy problemu palenia tytoniu i w ogóle myślenia więcej o innych.

29. Poniedziałek 6 sierpnia 1973 - Wyjazd

Rano ostatni raz jesteśmy na oficjum. Potem już ostateczne pożegnania.

Staszce z Warszawy, któremu pasek w spodniach się urwał, zostawiam swoją pętlę zjazdową z karabinkiem, na wieczne nieoddanie. Z niektórymi Polakami niedługo się zobaczymy w Paryżu, albo w Krakowie.

Odbieramy nasze „skarby” z taizowskiego depozytu. Biegę do „Exposition” i kupuję widokówki z witrażami w kościele Pojednania i parę innych. Kupuję „Modlitwy na każdy dzień”, wzorowane na tutejszym Oficjum. Sprawdzamy, czy czegoś nie zostawiliśmy w naszych posłaniach i ładujemy się do niewielkiego Citroena DCV, należącego do Anne.

Wyjeżdżamy na północ, koło Tournus wjeżdżamy na autostradę. Rozmawiamy po drodze i dowiadujemy się, że Anne jest pastorką (kobieta-kapłan) w Kościele Ewangelickim-Reformowanym. Pełni posługę w środowisku robotniczym, zajmuje się alkoholikami...

Cisnie na pedał gazu, by rozwinąć jak największą szybkość, ale jej auto jest zdecydowanie w gorszym stanie, niż to, którym Jacques nas przywiózł z Paryża. Po ok. godzinie zaczyna się kłopot. Anne pyta, czy nie znamy się na silniku samochodowym? Niestety, nie, żadne z nas nie miało wtedy nawet prawa jazdy. - A co się dzieje?

- Coś z chłodzeniem. Rośnie temperatura, tylko patrzeć, jak chłodnica się zagotuje. Dociągamy jakoś do stacji benzynowej i tam Anne zjeżdża, może ktoś z tankujących coś poradzi?

Tankuje jakiś krążownik szos z niemiecką rejestracją. Kierowca plus minus 50-latek, oraz młody dryblas. Anne pyta, czy nie mogliby zajrzeć do jej auta, bo chłodzenie nawala, Hanka na wszelki wypadek powtarza to po niemiecku. Młody dragal zastrzegając się, że jest lotnikiem, pilotem, a na samochodach zna się niewiele, idzie jednak je obejrzeć. Po chwili mówi, że silnik jest w zasadzie w porządku, tyle, że już jest stary i zużyty, nie można go dusić, bo nie wydzieli. Temperatura wzrosła, bo był przeciążony.

- Ładna historia – mówi Hanka do mnie. Słyszysz to kierowca i gwałtownie reaguje:

- Toż czemu wy nie mówicie, że wyście z Polski? Od razu trzeba było mówić. I z silnym litewskim akcentem zaczyna wypytywać nas, skąd jesteśmy, dokąd jedziemy, jakie mamy plany itd.

Młody lotnik, widząc to, proponuje zamianę: On przeniesie się do Anne, a my pojedziemy z rodakiem. Okazuje się, że nic go z nim nie łączy, po prostu autostopowicz. Pojedzie z Anne i będzie pilnował, by nie przeciążała silnika i dojechała szczęśliwie. Trochę nam było głupio porzucać Anne, ale skoro trafia „w dobre ręce”? I jedna osoba mniej, to dla jej auta też ulga. Przenosimy nasze rzeczy do potężnej limuzyny rodaka. Tamci odjeżdżają, naszemu nie spieszy się. Pochodzi z Wilna. Wywieziony podczas okupacji na roboty do Niemiec, po wojnie nie miał już dokąd wracać, bo Wilno sowieckie. Został w Niemczech, tam się ożenił, zrobił karierę.

Długie były rodaków rozmowy. Niebawem ruszyliśmy, minęliśmy Anne – jednak pilot jej nie dowierzał i sam siadł za kierownicą. Zawołała, że wszystko OK. Nasz nowy przyjaciel jeszcze fundnął nam obiad i powiedział, że dowiezie nas na miejsce, do Colombes, jeśli tylko popilotujemy go przez Paryż. Nie było to trudne.

Rodzice Jacquesa nie tylko mile nas powitali, ale wręczyli jeszcze upominki. Hanka skorzystała z okazji by pograć. Pojawił się też brat Jacquesa, o nieco hippisowatym wyglądzie. Jemy kolację i kładziemy się spać. Zostaniemy tu jeszcze jutro do południa, aż Sylvaine wróci z pracy i będzie nas do siebie mogła wpuścić.

30. Paryskie dojrzewanie - 7-18 sierpnia 1973

Jak wspomniałem opuszczałem Taizé z uczuciami mieszanymi, nawet trochę w nastroju buntowniczym. Nie wszystko mi się tam podobało. Wyjaśnienia brata Klausa, czy brata Rogera nie do końca mnie przekonały. Nie wracaliśmy jednak do kraju zaraz po Taizé. Miejscówki powrotne mieliśmy za dwa tygodnie (ja musiałem w Paryżu zmienić rezerwację na parę dni wcześniej), zaś Sylvaine zaoferowała nam locum. Liczyliśmy na nią, na rozmowy z nią, z innymi osobami z jej „komórki”, na poznanie, jak tutejsi żyją Soborem Młodych.

Do Sylvaine przenieśliśmy się następnego dnia po powrocie z Taizé i mieszkaliśmy do końca pobytu w Paryżu. Widywaliśmy ją zwykle tylko późnymi wieczorami, ale wystarczało to na wymianę opinii, nasze wrażenia z Taizé i jej uwagi. Dwukrotnie poszliśmy z nią na spotkanie jej „komórki” taizowskiej, zaś na 15 sierpnia zaprosiła nas (czyli zabrała ze sobą) do wiejskiego domku w Normandii, odziedziczonego po wieśniaczych przodkach.

Rozmowy z nią i spotkania z „komórką”, to była jedna część naszego „dojrzewania”. Wypowiadaliśmy nasze opinie, opowiadaliśmy też o Polsce, o sobie, o naszej wspólnocie i jej problemach. Słuchaliśmy też o jej pracy w związkach zawodowych, o problemach z imigrantami, nad którymi usiłują roztoczyć opiekę. W owym czasie głównie chodziło o Portugalczyków, Afrykanie się chyba separowali od Francuzów. No i dzieliliśmy się naszymi wrażeniami i opiniami na temat Soboru Młodych. Sylvaine, o ile pamięć mnie nie zawodzi, ni polemizowała z nami, ani niczego nie wyjaśniała, czy usprawiedliwiała. Przyjmowała do wiadomości nasze wrażenia – te pozytywne, a tamte cokolwiek negatywne.

Pierwsze spotkanie Taizowskie było u Brigitte, poznanej w Chludowie. Było na nim nieco zabawnie. Rozpoczynało się od wieczornego oficjum taizowskiego, chcieli je ładnie odśpiewać, ale się myliły melodie. Przy którymś niepowodzeniu nie byli w stanie utrzymać powagi. I tak modlitwa przeplatana była śmiechem. Później, podczas dyskusji, jak zwykle brakowało mi francuskich słów. Poprosiłem, by podano mi Biblię, bo w zasadzie chciałem przytoczyć pewien werset i go skomentować. Mając francuski tekst Biblii przed oczami, poszłoby mi dużo łatwiej. Okazało się jednak, że Biblii nikt nie ma przy sobie. W głowie mi się to nie mieściło. Być może dlatego, że w Polsce w tych latach tak bardzo trudno było o Biblię, myśmy bardzo cenili jej posiadanie i zawsze zabieraliśmy na tego typu spotkania.

Nieliczne osoby angażują się tak jak Jacques, że regularnie przyjeżdżają do Taizé w roli współorganizatorów, czy animatorów. Niektórzy byli tam tylko raz. Przygotowanie Soboru Młodych nie na tym polega, by zjeżdżać się w Taizé, ale by ideały realizować na co dzień, w sobie i wokół siebie, we własnym środowisku.

Wiedzieliśmy, że niemal wszyscy z „komórki” wysłali zaproszenia dla kogoś z Polski, tak jak do nas, ale rodacy, którzy z nami byli w Taizé mieli zaproszenia od nieznanych tu osób. Jednak jedna z dziewcząt na spotkaniu zdążyła już poznać całe grono naszych przyjaciół, a teraz wysłała zaproszenie do pewnego Wiesława i okazało się, że to były adorator mojej siostry, Mały jest ten świat.

Wyjechawszy z Sylvaine na 15 sierpnia, byliśmy na Mszy w Hornfleur. Kościół był pełen, miejscowi i Paryżanie (w części ex-miejscowi). Nie ma tam niewierzących-praktykujących, co do kościoła chodzą z konformizmu, z uwagi na opinię środowiska. Ci, co przyszli na Mszę, wiedzieli po co przyszli i dobrze się modlili. Pomyślałem sobie, że liturgia posoborowa wydaje się, jakby właśnie dla nich stworzona.

Drugi wątek naszego paryskiego dojrzewania, to czas spędzony z Adamem Bonieckim. Wiele czasu spędziliśmy z Adamem. On jeszcze w Taizé nie był, dopiero się wybierał. Wypytywał nas o wrażenia, więc opowiadaliśmy mu i rzeczy pozytywne i negatywne. Znając nas od lat, potrafił lepiej, niż bracia w Taizé rozpraszać moje zniechęcenia, czy wyciągać ze mnie, że jednak Taizé nie spłynęło po mnie bez śladu. Spotykaliśmy się na Mszy św. na Faubourg St Honore, ale też parę razy wieczorem. Pokazywał nam trochę paryskich ciekawostek. Wyjątkowo mieliśmy go tylko dla siebie, w Paryżu bawiło spore grono bardziej lub mniej znajomych Polaków, niektórzy też byli, tak jak my, po Taizé, i prawie wszyscy

ciągnęli do Adama. Więc też wiele rozmów przekształcało się w dyskusje, czy konfrontacje wrażeń.

Spotkaliśmy się też z Jacquesem, który za parę dni wrócił, razem z nim czwórka Hindusów, którzy u niego zanocowali, a gdy pojechali, to znowu pojawiły się jakieś dwie Belgijki, tak, że jego dom był stale pełen. Na któreś spotkanie zaprosił oprócz nas też Adama i paru Polaków.

Mały jest ten świat. W Paryżu pojawiła się pani profesor Hanki (Hanka była jej asystentką), więc złożyliśmy i jej wizytę.

W jednej z księgarni zobaczyłem nowe wydanie Modlitewnika Taizé, zawierającego teksty Oficjum. Nie było nawet drogie. Ale tak mało mieliśmy pieniędzy, postanowiłem zostawić to Hance, by jeśli jej zostanie trochę pieniędzy, kupiła to przed wyjazdem z Paryża. Zostawała dłużej, ja musiałem wymienić swój powrotny bilet na wcześniejszy, by móc na czas pojawić się w pracy. Hankę niestety zaraz po moim wyjeździe okradziono z pieniędzy. Kupił natomiast ów modlitewnik miesiąc później Wiesiek i na jakiś czas mi go w Polsce udostępnił.

31. Co nam zostało z tych lat?

Im więcej czasu mijało od naszego pobytu w Taizé, tym więcej wartości dostrzegaliśmy, tym bardziej blakły dostrzeżone negatywy.

Zaraz od nowego roku akademickiego spróbowaliśmy zaagitować w duszpasterstwie akademickim i być może zorganizować jakieś nowe grupy Soboru Młodych w Krakowie. Z dużym nakładem czasu skompilowałem najważniejsze informacje na paru stronach i pracowicie przepisywaliśmy je na maszynie. Daliśmy ogłoszenie w DA. Odbyło się nawet parę spotkań u św. Anny. Ale nic z nich nie wynikło. W sprawy wdała się bezpieka, zaczęto uczestników ciągać na przesłuchania. Jeden ze znajomych z dużą wesołością relacjonował nam swoje przesłuchanie i zadawane mu pytania. Nie ulegało wątpliwości, że w naszych spotkaniach brało udział jakieś osobowe źródło informacji. Jednak był to ktoś całkowicie z zewnątrz, który opisał mnie i Hankę, ale wziął nas za małżeństwo, ew. narzeczonych, co bezpiekę skierowało zupełnie na fałszywe tory. Nie połapali się, że my to my. Mieli jednak o tyle utrudnione zadanie, że ja i Hanka jechaliśmy do Francji na zaproszenie różnych osób, przy czym Hanka pojechała wcześniej (co prawda do Weimaru – więc nie wiedzieli, czy we Francji spotkała się ze mną), a wróciła później ode mnie. Nie wiem, czy ktoś z Polaków bawiących w Taizé kablował, rodaków było tam sporo, ale nie przedstawialiśmy się z nazwiskiem i adresem, więc też, jeśli był, zadania łatwego nie miał. A w Taizé, w gronie rodaków było sporo osób dużo bardziej udzielających się, bardziej widocznych, niż ja, czy Hanka. A może notes, który zginął mi po pierwszym tygodniu padł łupem jakiegoś TW? Jeśli tak, to musiał go spotkać zawód, akurat w tym notesie były wrażenia i notatki z dyskusji, nie było zaś nazwisk ani adresów.

W każdym razie nie udało się utworzyć żadnej komórki Taizowskiej. Pozostawała nam jeszcze nasza wspólnota, która jednak parę lat później się rozpadła. Dostawaliśmy regularnie „Listy z Taizé” i niektóre inne biuletyny, które odkąd Marek znalazł się wśród braci, były też wypuszczane w wersji polsko-języcznej, w miarę możliwości pojawialiśmy się na krakowskich spotkaniach taizowców, niemniej coraz mniej żyliśmy tymi sprawami, aż nastąpił wybór Jana Pawła II, potem Solidarność i kontakty całkowicie się urwały.

Patrząc dziś, z perspektywy 35 lat, które minęły od mojego „epizodu Taizé”, co mogę powiedzieć?

Czy nastąpiła wiosna Kościoła?

Dla nas, Polaków, wiosną był wybór kard. Wojtyły na papieża. Były w jakimś stopniu lata 80-te, kiedy Kościół udzielał schronienia i oparcia represjonowanym, i to bez względu na ich poglądy. Jeśli była to wiosna, to skończyła się z upadkiem komuny. Kościół zaczął dopominać się o „bogate” środki, a wielu sztandarowych katolików zamarzyło sobie nawrócenie kraju nie siłą prawdy, ale siłą ustaw sejmowych, z rezultatami wątpliwymi.

Swoje wrażenia z Taizé relacjonowałem też O. Janowi Górze, wtedy jeszcze klerykowi. Czasem się zastanawiam, na ile Lednica może być wzorowana na Taizé? Nie wiem, nie byłem na Lednicy, z O. Górą kontakt się mi urwał pod koniec lat 70-tych.

Czy Kościół jest w większym stopniu, niż dawniej widzialnym znakiem komunii całej ludzkości? Jan Paweł II organizował międzyreligijne spotkania w Asyżu, ale reperkusje pokazują, że Kościół nie jest gotów do tej roli.

Nasz papież miał dość wyobraźni i odwagi, by wejść na drogę pojednania, ale czy za nim poszedł cały Kościół? Chyba nie, skoro czasem słyszę opinie, że już dość biliśmy się w piersi i dość przepraszały i teraz pora na innych, by oni przed nami się bili w piersi.

A wydarzenia w różnych częściach świata pokazują, jak chętnie katolicy gotowi są do roli katów i oprawców, nie zaś do oddania własnego życia, by człowiek nie stawał się ofiarą innego człowieka.

Czy Chrystus Zmartwychwstały ożywia w naszych duszach święto? Wciąż nasze świętowanie jest uroczyste, sztywne i ponure, czasem cierpiętnicze. Co prawda neokatechumenat ma na koniec liturgii ekspresję radości, ale czy jedna jaskółka przynosi wiosnę?

Czymże więc ostatecznie był Sobór Młodych? Górą, która urodziła mysz?

Przez spotkania taizowskie przewinęły się chyba już miliony młodzieży. Chyba jednak ilość nie przeszła w jakość (jak Marks głosił) ale może w bylejakość. Ilu z uczestniczących znało orędzie taizowskie, „Radosną Nowinę”, współczesny kerygmat? Ilu z nich go przeżyło z myślą o wprowadzeniu we własne życie?

A ja sam? Co mówię o sobie?

Chyba jednak po mnie nie spłynęło to bez śladu.

Kiedyś, w swych reakcjach i wypowiedziach na problemy religijne i kościelne byłem dość radykalny i bezkompromisowy. Wydaje mi się, że dziś jestem inny, może równie porywczy, ale zdecydowanie bardziej wyrozumiały, bardziej tolerancyjny, otwarty na różnice zdań, z większym dystansem do apologetyki

Choć nie zawsze to mi się udaje, staram się być człowiekiem komunii, nastawionym na dostrzeżenie pozytywów, tego co łączy.

Wiele różnic dogmatycznych między chrześcijańskimi wyznaniem zostało sztucznie wyolbrzymionych, bo w gruncie rzeczy nie one były przyczyną rozłamu. Przyczyną faktyczną, były z reguły pieniądze i polityka.

I im dłużej żyję, tym bardziej alergicznie reaguję na mieszanie religii do polityki. Dla mnie jest to grzechem przeciw drugiemu przykazaniu.

I nie widzę sensu np. w prawnej ochronie wartości chrześcijańskich przed ich szarganiem. Jeśli bezbożni nie szanują tych wartości po prostu przez szacunek dla nas, wyznawców Chrystusa, to zmuszanie ich do tego siłą prawa tylko pogarsza sprawę. Tak samo nie apróbuję, gdy ktoś mówi, na jakie ugrupowania polityczne katolik może głosować, a na jakie nie, bo zgrzeszy. Wątpię by jakkolwiek duchowa władza miała prawa rozstrzygnięcia w sprawach nie-duchowych, a jeśli to robi, prędzej czy później obróci się to przeciwko niej. Jeśli katolicy politycy swoją postawą nie są w stanie zdobyć głosów wyborców, daremny nakaz biskupa. Im donośniej jakiś polityk ujmuje się za wartościami chrześcijańskimi, tym większe prawdopodobieństwo, że tymi wartościami na końcu się okażą władza, mamona, obłuda i hipokryzja. To nasze świadectwo codziennego życia ma świat przemienić, nie ustawy parlamentarne. Mogą ustawy iść w ślad za naszym świadectwem, ale nie powinny go poprzedzać, a uchowaj Boże zastępować!

Zapewne nie sam kontakt z Taizé zdecydował o wytworzeniu się we mnie tego typu postaw, ale również lata, liczne kontakty z dość różnymi środowiskami, zapewne jednak Taizé położyło pod to grunt, tęsknotę za Kościołem pozbawionym aparatu władzy, środków przymusu, natomiast gotowym do dzielenia się ze wszystkimi, Kościołem będącym widzialnym znakiem komunii wszystkich ludzi, a nie zapleczem partii politycznej.

Jeśli idzie o ekumenizm, to mam wrażenie, że nadmierną wagę przywiązuje się do formalnej, instytucjonalnej przynależności do Kościoła Katolickiego, który jest jedynym prawdziwym Kościołem. Nadmierną wagę przywiązuje się do dogmatów. Myślę, że dla Chrystusa, członkiem Jego Ciała mistycznego nie jest ten, kto mówi „Panie, Panie” i werbalnie przyznaje się do dogmatów, ale ten, kto wypełnia wolę Ojca, czyli ten kto swym życiem daje świadectwo wiary.

Jeśli Bóg dopuścił do rozłamów w Kościele, to widać po temu były przyczyny i wina nas, wyznawców Chrystusa. I jeśli my się przemienimy, jeśli w nas ustaną przyczyny rozłamu, to dla Boga nie ma nic niemożliwego i sprawi, że jedność będzie odzyskana, w sposób zupełnie nieoczekiwany i nie do przewidzenia. Na ile mamy być zakorzenieni w swoich Kościołach? Kiedy uzasadniona jest konwersja? Brat Max przeszedł w pewnym momencie na katolicyzm, brat Roger był do końca ewangelikiem.

Ale zapewne zbyt wiele rozpisuję się o sprawach, kontrowersyjnych. Więc może o mniej kontrowersyjnych. Wiele moja modlitwa skorzystała na kontakcie z Taizé. Opisałem przy innej okazji i zamieściłem też na swej stronie sieciowej, jak to taizowskie oficjum wprowadziło mnie w liturgię godzin. Nie będę tego powtarzał. Dużo też dały śpiewy taizowskie - kanony i wersety. Był czas, że śpiewaliśmy je sobie w domu, z żoną i gośćmi, co wpadali z wizytą, ale przede wszystkim jest to coś, co sobie nieraz nucę w myślach, zwłaszcza idąc do kościoła lub wracając, czasem na spacerze, a czasem dla uspokojenia irytacji. Są one dla mnie trochę niczym mantry.

I choć Taizé odżegnywało się od własnej duchowości, to jednak kontaktom z Taizé zawdzięczam dość istotny element: szukać komunii z Chrystusem Zmartwychwstałym, aż się odmieni powoli moje spojrzenie i będę zdolny widzieć innych ludzi i świat oczami samego Chrystusa. Przyjąłem to za podstawę mojej drogi ku Bogu, choć ze wstydem wyznaję, że nieraz zaniedbuję się, zbyt mało nad sobą pracuję i do celu mi ciągle daleko.

Koniec.